

Cena 19 000 zł.

WIOSNA 1994

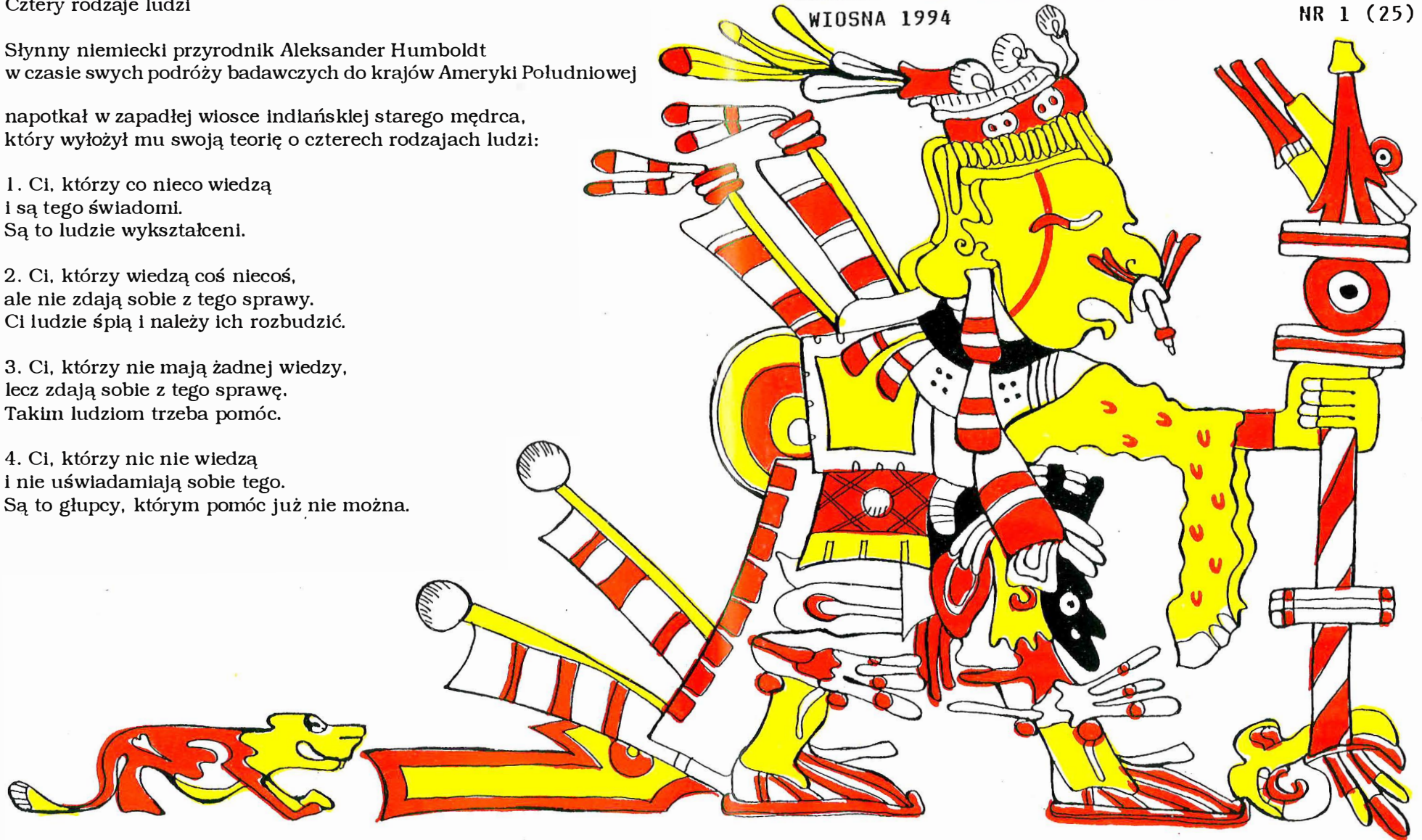
NR 1 (25)

### Cztery rodzaje ludzi

Słynny niemiecki przyrodnik Aleksander Humboldt  
w czasie swych podróży badawczych do krajów Ameryki Południowej

napotkał w zapadłej wiosce indiańskiej starego mędrca,  
który wyłożył mu swoją teorię o czterech rodzajach ludzi:

1. Ci, którzy co nieco wiedzą  
i są tego świadomi.  
Są to ludzie wykształceni.
2. Ci, którzy wiedzą coś niecoś,  
ale nie zdają sobie z tego sprawy.  
Ci ludzie śpią i należy ich rozbudzić.
3. Ci, którzy nie mają żadnej wiedzy,  
lecz zdają sobie z tego sprawę.  
Takim ludziom trzeba pomóc.
4. Ci, którzy nic nie wiedzą  
i nie uświadamiają sobie tego.  
Są to głupcy, którym pomóc już nie można.



## JAK TO Z NAMI JEST

Witamy w pierwszym numerze tego roku. Rozpoczynamy bardzo ważnym artykułem „Za wszystkich moich krewnych”. Wyjaśnia on duchowe postrzeganie Indian amerykańskich, ich rozumienie Matki Ziemi jako źródła całego życia, co przejawia się w odmiennych od naszych sposobach wyrażania szacunku wobec stworzonego świata.

O odmienności Indian amerykańskich świadczą także dawny sposób pojmowania wojen. Drugą część artykułu Denysa Delage „Wojna i sojusz francusko-indiański” wyjaśnia wiele dziwnych, naszym zdaniem, zachowań w historii Indian. Miłym wprowadzeniem do tego artykułu jest piękna opowieść Josepha Bruchaca „Lodowe serca”.

Mimo że numer ten zaczęliśmy bardzo pokojowo, to jednak większość artykułów poświęcona jest wojnom. Lisy i Saukowie także przez to przeszli; ich wojna o przetrwanie zakończyła się oczywiście klęską.

Czytając o tych indiańskich wojnach, aż chce się krzyknąć: Ach, gdzie te dawne wojny! Zupełnie odmiennie od dzisiejszych, bratobójczych wojen, pozbawionych sensu - tylko dla samego niszczenia, gwałcenia i zabijania. Ale gorsza jest inna rzecz: ludzkość wcale nie próbuje tym wojnom zapobiegać! Czekają na telewizyjne migawki, radiowe i prasowe serwisy i przeżywa wszystko niczym seriale, równie długie i równie głupie.

Mitakuye Oyasin!

Niedźwiedź



Ukazuje się: w marcu, czerwcu, wrześniu, i grudniu  
**Redaguje zespół:** Wiesław Karnabal (redaktor naczelny), Marek Maciołek i Marek Nowocień  
**Stale współpracują:** Roman Bała, Marek Cichomski, Wiesław Kołeczek, Maciej Lewandowski i Mirosław Sulgostowski  
**Adres redakcji:** Dąbrowa, ul. Szkolna 9, 62-069 Pałędzie  
**Wydawca:** TIPI s.c. ul. Łąkowa 3, 64-050 Wielichowo  
**Druk:** Zakład Usług Poligraficznych WI-MARK, Kalisz ul. Czereśniowa 10

## W numerze:

**Za wszystkich moich krewnych** – o duchowym wymiarze życia

**Lodowe Serca** – opowiadanie Josepha Bruchaca

**Wojna i sojusz francusko-indiański** – druga część fascynującego materiału Denysa Delage

**Lisy i Saukowie** – zarys dziejów

**Wojna Czarnego Jastrzębia** – oddziały, uzbrojenie, taktyka

**Ray A Young Bear** – wiersze

### CHIAPAS:

**Meksyk nieznan** – fragment książki Fernando Beníteza

**Indianin z karabinem na ramieniu** – artykuł Romana Balli o przyczynach powstania w Chiapas

Chronologia wydarzeń i bibliografia

**Kto jest Metysmem Ameryce Łacińskiej?**

**Znani i nieznan** – Indianie Eno i Sobalpuri

**Życie w biegu**

**Zwierzona Cienia**

oraz zrób to sam, kuchnia, listy i książki



**Dorocie Drozdowskiej  
i Krzysztofowi Myszołowowi Mączkowskiemu**

Szczęścia

miłości

i pokoju

na wspólnych ścieżkach życia

przyjaciele i znajomi



**Podziękowania:** Aleksander Sudak, Jan Rzatkowski, Alicja Stebłok, Tomasz Chodorowski, Radosław Dellda, Daniel Wardziński, Tomasz Grześkowiak, Jerzy Tołłoczko, Jerzy Szturc, Stanisław Lewandowski, Waldemar Kullgowski, Henryk Krawczyk, Grażyna Truszkowska oraz wszystkim tym, którzy napisali o nas do „Filipinki”.

**Projekt okładki:** Joanna Mieszko na podstawie tzw. Kodeksu Borgla I, XIV-XVI w. z regionu Mixteca-Puebla (Meksyk).



Każda rzecz we wszechświecie jest częścią jednej całości.  
Wszystko w jakiś sposób łączy się ze sobą.  
Zrozumiemy cokolwiek jedynie wtedy, gdy zrozumiemy tę zależność.

# MITAKUYE OYASIN

Indianie amerykańscy i inne ludy tubylcze od dawna są przeświadczane, że mogą sporo nauczyć Europejczyków i północnych Amerykanów o świecie i pokrewieństwie człowieka z nim. Pokładają ufność w duchowe podstawy swego postrzegania; ufają, że podstawy te mogą stać się źródłem uzdrowienia i pojednania całego stworzonego świata (creation). Oto kilka prostych przykładów wynikających z indiańskiego postrzegania świata.

Moi Indianie przodkowie utrzymywali siłą i odpowiedzialną więź z Bogiem jako Stwórcą na długo przed Jego poznaniem, tzn. przed przyjęciem Ewangelii Jezusa Chrystusa. Więź ta zrodziła się z uznania Innego jako Stwórcy, jako twórczej mocy ponad wszystkim, co istnieje; poprzedziło to na długo przybycie misjonarzy.

Nasi Indianie przodkowie potwierdzali dobroć Stwórcy i całego stworzonego świata we wszystkich, co robili. Dotyczyło to także ich samych. To była istota ich opowieści, najważniejsza część ich modlitw i cel obrzędów. Rozpoznawali równowagę i harmonię, jakie charakteryzowały całość stworzonego wszechświata: w równowadze pozostawały ze sobą zima i lato, polowanie i rolnictwo, niebo i ziemia, gorąco i zimno, słońce i księżyc, pierwiastek żeński i męski oraz kobiety i mężczyźni. Nasi przodkowie widzieli, że wszystko to było dobre, podobnie jak czynił to Bóg na koniec szóstego dnia (Rdz 1, 31).

Całe duchowe postrzeganie amerykańskich Indian, a stąd indiańska teologia, wynika z aktu Tworzenia, czego często nie dostrzega się w podstawowej formie odprawiania ceremonii religijnych przez Indian wielu plemion Ameryki Północnej. Nasze modlitwy odmawia się często we wspólnocie zebranej w kręgu. Krąg jest głównym symbolem samorozumienia, reprezentującym całość wszechświata i nasz w nim udział.

Patrzmy na siebie jak na równorzędnych uczestników tego kręgu, nie stojących ani niżej, ani wyżej od innych twórców Boga. W naszej kulturze nie ma hierarchii,

nawet gatunków, ponieważ krąg nie ma początku ani końca. Wszystkie stworzenia występują razem, każde na swój sposób, aby zachować całość kręgu.

Gdy grupa Indian formuje krąg do modlitwy, wszyscy wiedzą, że już sam krąg jest modlitwą. Nie padło jeszcze ani jedno słowo (są obrzędy, w których nie trzeba nic mówić), ale sam fizyczny przejaw naszej postawy już wyraził naszą modlitwę i głęboką troskę o cały stworzony świat.

Narody Lakotów i Dakotów mają zwrot używany we wszystkich modlitwach, który trafnie oddaje tubylcze poczucie bycia pośrodku stworzonego świata. Zwrot **Mitakuye Oyasin** [wym. *mitákuję ojásin*] ma wiele warstw znaczeniowych. Człowiek modli się oczywiście za swych bliskich krewnych - ciotki, kuzynów, dzieci, czy dziadków. Jednak „pokrewieństwo” może dotyczyć także innych członków plemienia, a nawet wszystkich Indian.

Jednocześnie zwrot ten obejmuje wszystkie istoty ludzkie, czyli wszystkich dwojonych jako krewnych, a powiększony krąg nie kończy się jeszcze w tym miejscu. Każdy Lakota odmawiający tę modlitwę wie, że nasi krewni to wszystkie stworzenia czworonożne, skrzydlate i inne żyjące na Matce Ziemi. Pewien nauczyciel Lakota zasugerował, że lepsze tłumaczenie **Mitakuye Oyasin** brzmiałoby: „Za wszystkie rzeczy nade mną i pode mną, i wokół mnie; to jest, za wszystko, z czym jestem spokrewniony”.

Pytanie, jakie indiańskie kultury stawiają ludziom chrześcijańskim, szczególnie

tym z Europy i Ameryki Północnej, brzmi: Jak można szanować drzewo, skałę, zwierzęta czy wreszcie istoty ludzkie w komercyjno-przemysłowym świecie, który wyłonił się ze współczesności i teraz grozi całemu Stworzeniu „postmodernistyczną” zagładą? W jaki rodzaj wzajemności jesteśmy zaangażowani, w jaki będziemy? Co zwrócimy Ziemi, gdy wytniemy las czy wyeksploatujemy kopalnię, zostawiając za sobą metr po metrze całkowicie gołą ziemię?

To samo pytanie, postawione w kategoriach ludzkiej sprawiedliwości, zabrzmiać może jeszcze bardziej boleśnie: gdzie wzajemność, gdzie zachowanie kosmicznej równowagi z szacunkiem do tych, którzy cierpią różne rodzaje ucisku w naszym współczesnym świecie: Murzyni w południowej Afryce, Palestyńczycy, Tamilowie w Sri Lance czy ludy plemienne w Ameryce Łacińskiej?

Podobnie jak wiele innych ludów Trzeciego i Czwartego Świata, także i ja martwiłem się, że rosnąca troska i świadomość kryzysu ekologicznego, dotykającego cały stworzony świat, mogły (i często to robiły) odrywać ludzi o wrażliwym sumieniu od ich świadomości i zaangażowania w sprawy sprawiedliwości i wolności. Na przykład, troska o przeżycie ryb w górskich jeziorach, zanieczyszczonych kwaśnymi deszczami jest z pewnością szlachetna. Jednak, gdy odrywa to naszą uwagę od codziennych cierpień Czarnych w południowej Afryce, stajemy się uczestnikami ucisku dotykającego naszych braci i siostry poprzez terror apartheidu.

Ze swej strony, muszę nieustannie przypominać dobrym chrześcijanom w Ameryce Północnej o trwającym ucisku Indian amerykańskich: sześćdziesiąt procent bezrobocia, zdewastowane kultury, grabież ziemi i największa ofiara: choroby i słabowitość owocujące przerażającą statystyką średniej długości życia zaledwie 46 lat. Potrzeba sprawiedliwości, potrzeba kościołów, które ogłoszą „dobrą nowinę błędnym i uciśnionym” jest naprawdę wielką, nawet pośrodku północnoamerykańskiego dobrobytu.

Indiańskie rozumienie Tworzenia jako świętości, Matki Ziemi jako źródła całego życia, wykracza daleko poza świadomość takich instytucji jak **Sierra Club** czy **Greenpeace**. Znaczy więcej niż troska o fokki czy parę uwiecznionych w lodzie wielorybów. Obejmuje ono całe życie, od drzew i skał do stosunków międzynarodowych. Wiedza ta jest natchnieniem dla wszystkich działań społecznych, od polowań i tańców po pisanie wielkich petycji, czy kierowanie rządowymi agendami.

W szczególności dotyczy to sposobu, w jaki ze sobą żyjemy. Siłarzczy wiąże się to ze sprawami sprawiedliwości i uczciwości, a wreszcie pokoju.

Indianie doświadczali i dalej doświadczają niekończącego się ucisku w rezultacie tego, co można nazwać barbarzyńską inwazją na Amerykę. Podejrzewamy, że ucisk, którego doświadczaliśmy, jest ściśle związany ze sposobem, w jaki imigranci modlą się i rozumieją Tworzenie oraz swój stosunek do stworzonego świata i Stwórcy.

Co więcej, sądzimy, że chciwość, która była powodem usunięcia wszystkich ludów tubylczych z ziemi ich duchowych korzeni jest tą samą chciwością, która teraz zagraża przyszłości Ziemi oraz jest nieustannym źródłem ucisku tak wielu ludzi. Bez względu na to, czy są to opowieści, które opowiadają imigranci, czy teologie, które rozwijają, aby je zinterpretować, ludom indiańskim wydaje się to złe.

Indianie nie tylko wytrwale opowiadają opowieści, śpiewają pieśni, odmawiają modlitwy i odprawiają obrzędy, których korzenie sięgają głęboko w Matkę Ziemię, ale są na tyle zuchwali aby myśleć, że ich opowieści i sposoby wyrażania szacunku wobec stworzonego świata, którego dnia pokonają imigrantów i ich zmieniają. Zdaje się, że tubylcze ludy Ameryki mają we krwi optymizm i cierpliwość bez granic.

**Mitakuye Oyasin!** Za wszystkich moich krewnych!

Przełożył Dariusz Pohl

Na podstawie *Grassroots Journal*, vol. 1, no. 2, maj 1992.



## LODOWE SERCA

*Dla Raya Faddena Tehanetorensa, nauczyciela, gawędziarza i przyjaciela*

Było to w Miesiącu Długich Nocy, gdy przyszedł do nas Lodowe Serca. Dotarli tu z białym rzeką, która płynęła na północ ku wybrzeżu, gdzie woda miesza się z solą i płynęła bez końca. Szli północnym brzegiem i w miejscu, gdzie zima zatrzymała wodę, przeszli na drugą stronę.

Łódź przymarzała im do twarzy, osiadła na włosach, jakże porastały im oblicza. Mieli ciężkie i szare ubrania, w kolorze krzemienia. Nieśli ze sobą długie noże i wielkie siekiery, lśniące jak lód. Wydawało się, że serca też mieli z lodu, gdyż zwalili się na naszą uszpaną włoskę i zabijali z lodowym chłodem w oczach koloru nieba. Zabijali i kradli nam żywność, a potem znów zniknęli w nawałnicy, jakby byli jej dziećmi.

Walczyli dzielnie, ale nie wszystkim udało się uciec cało. Dwóch z nich złapałiliśmy w zagajniku. Jeden zaplątał się w krzakach, a drugi pomagał mu się uwolnić. I wtedy ich osaczyliśmy. Powoli rozejrzeli się na wszystkie strony. Zobaczyliśmy, że nie była to ich prawdziwa skóra, twarda jak krzemień, tak twarda, że łamały się nasze strzały. Był to rodzaj pancerza, jaki na siebie zakładali. Znalismy pancerze, niektórzy nasi wojownicy nosili takie zrobione z kawałków twardego drewna. Podeszliśmy bliżej... i jeden z nich nagle potrząsnął siekierą, jakby chciał nią rzucić. Wtedy to Wielka Kaczka padła na śnieg i zaczęła wybierać nogami jak kaczka trafiona strzałą, a następnie głośno pierdnąć.

Wyglądało to tak zabawnie, że wszyscy wybuchliśmy śmiechem, Krążący Orzeł, Je Jak Niedźwiedź, Bolące Oczy i nawet sam Wielka Kaczka, który ciągle leżał na śniegu. Może ci ludzie o lodowych sercach zamierzali zabić kilku naszych, może my też chcieliśmy ich zabić, tak czy inaczej

było to zabawne, a ja, Rozglądający Się Lis, śmiałem się chyba najgłośniej, choć nie spuszczałem z oka tych Lodowych Serc. Nie byłem gotów umierać ze śmiechem na ustach, a oni się śmiali! Może bał się śmierci i dlatego tak się zachowywali. Kiedy śmierć czyha na ramieniu, człowiek robi dziwne rzeczy. Śmiali się i to zdjęło okrucieństwo i zło z ich oczu. Dopiero wtedy spostrzegliśmy, jacy byli młodzi. Podeszliśmy do nich i odebraliśmy im długie noże i siekiery.

Dwóch ludzi zginęło, kiedy się pojawili Lodowe Serca. Jeden to starzec, który spał przy wejściu do Długiego Domu. Nazywał się Sika W Kącie, gdyż był tak leniwy, że kiedy przyszła zima, nie chciało mu się wychodzić na śnieg. W tej części Długiego Domu często śmierdziało moczem. Wódz Lodowych Serc wbił swój długi nóż prosto w jego brzuch. Stary Sika W Kącie krzyknął krótko i zwał się na próg. Ludzie zerwali się ze snu. Wydawało się, że to trąba powietrzna wtargnęła do Długiego Domu. Niektórzy z nas próbowali się odsunąć od drzwi ile tylko mogli, zaś inni chwycili za broń i stanęli w półokręgu na wprost najeźdźców. Ktoś dorzucił suchego drewna do ogniska na środku i buchnął płomień, oświetlając wysokie sylwetki wielu dziwnych ludzi. Nigdy dotąd takich nie widzieliśmy. Wchodziło ich coraz więcej, aż liczebnością zrównali się z dwudziestoma naszymi wojownikami, broniącymi dostępu do starców, kobiet i dzieci.

Ten, który stał na przedzie wydał jakiś dźwięk. Musiały to być słowa, ale nigdy nie słyszeliśmy tego języka. Trudno było uwierzyć, że ludzie mogą wydawać takie dźwięki. Kiedy rozmawiali se sobą, paru naszych

pomyślało, że ci dziwni ludzie pochodzą ze świata duchów. Jednak w tej samej chwili, gdy ten na przedzie skończył mówić, Rzucający Światło zrobił krok przed siebie.

Rzucający Światło był dzielnym wojownikiem. Miał w przeszłości sny, które pokazały mu, jak czynić dobre rzeczy; uważano go za lekarza. Wysunął się z naszego szeregu i podszedł do Lodowych Serc trzymając przed sobą orle pióro, jakby to była płonąca gałązka do rozjaśniania ciemności. Potrząsnął nim przed Tym Na Czele i chciał coś powiedzieć, ale słowa nigdy nie opuściły jego ust. Kiedy poruszyło się ostrze długiego noża Tego Na Czele, pojawił się nagły błysk światła. Orle pióro spadło na ziemię w dwóch kawałkach, a Rzucający Światło osunął się obok, z głową niemalże odciętą od ciała. Było to bardzo źle i dłużej już się nie zastanawialiśmy. Ludzie czy duchy - musieliśmy ich odeprzeć. Kiedy wypuściliśmy strzały, Ten Na Czele rzucił się na kawałki mięsa, które suszyły się nad ogniskiem.

Większość naszych strzał i włóczni odbijała się od ich twardych ciał, ale Lodowe Serca wznieśli wielki krzyk i zaczęli wycofywać się Wschodnim Wyjściem. Ich dziwne oczy odbijały błyski ogniska. Zaczęli wymachiwać bronią nad nami, ale my trzymaliśmy się z dala, podnosiliśmy strzały, które się odbiły i strzelaliśmy ponownie. Nasze kobiety zaczęły wykrzykiwać pieśni wojenne. *Nie dajcie, aby ci Lodowi Ludzie zabili nas i nasze dzieci* - wołały i to nas zagrzewało. Wtedy strzała ugodziła Tego Na Czele. Może dzięki szczęściu albo dobremu wycelowaniu strzała trafiła go w jedno z nielicznych miejsc, jakie nie okrywał pancerz - w oko. Podniósł rękę do twarzy i padł na znak. Inni podnieśli go i ciągnęli za sobą. Był już na zewnątrz i cofali się po śladach, jakie sami zrobili w głębokim, syplącym śniegu, kiedy nas napadli. Wkrótce zginął drugi, włócznia przebiła mu szyję. Jego też zabrali ze sobą. Ci wielcy ludzie poruszali się szybko i większość z nas nie miała ochoty ich ścigać.

Zwołałem wtedy swoich przyjaciół. Szli ze mną już wcześniej, kiedy wyprawiali-

śmy się przeciw Ludziom Żyjącym Tam Gdzie Mieszka Jutrzenka. Przywiązałem sobie karpe i zakreśliłem półokrąg nad wzgórzem. Zrozumieli. Jeśli pójdziemy tą drogą, może uda nam się odciąć paru Lodowych Serc od innych. I tak się stało.

Kiedy wróciliśmy do Długiego Domu, byli tam wszyscy - żywi i umarli. W powietrzu unosił się zapach jakby odor zarżniętego jelenia, a na śniegu przy wejściu leżała skrzepnięta krew. Słychać było lamenty, gdy jednak puściliśmy tych wielkich ludzi przed siebie, lament przeszedł w okrzyk zdziwienia. Nieśliśmy broń Lodowych Serc. Był tak dobrze uzbrojeni, że każdy z nas coś miał. Ja niosłem wielką tarczę, która w dotyku była zimna jak krzemień. Je Jak Niedźwiedź miał jeden z długich noży, tak samo Krążący Orzeł. Bolące Oczy wybrał siekierę. Zrobił najlepszy wybór, bo przez wiele lat używał jej przy oczyszczaniu ziemi pod pola kukurydzy i przy ścinaniu drzew na budowę. Wielka Kaczka, który ich pokonał, niósł dwa mniejsze noże; przerzucał je sobie z ręki do ręki. Usiłował zachować poważny i srogi wyraz twarzy, ale śmiech znowu zalśnił w jego oczach.

Kobiety podeszły bliżej i zaczęły poszturchiwać tych olbrzymów. Niektóre napomknęły coś o ich wzroście i uderzyły ich lekko kijem w krocze. Naśmiewały się z nich, choć nie ukrywały też rozgniewania. Dwie kobiety nie miały już mężów i były dziećmi bez ojców. Gdybyśmy przekazali kobietom tych ludzi o lodowych sercach, mogły by ich zabić. Zamiast tego przyprowadziliśmy naszych jeńców do środkowego ogniska i zdjęliśmy im broń. Bez tych ciężkich ubiorów nadal były potężni, ale szczupli. Było im widać zębra, a kości ramion wystawały jak sęki na wojennej pałce. Czyżby dlatego nas zaatakowali? Z głodu?

- Przecież wokół jest tyle zwierzyny - powiedziała z niedowierzaniem Śliczne Oczy, żona Krążącego Orła.

- Może oni umieją jedynie walczyć, a nie polować? - zasugerowała.

Niektórzy spojrzeli na mnie tak, jakby sądzili, że zwartowałem, ale później prze-

konali się, że miałem rację. Broń, jaką nosili Lodowe Serca nie nadawała się do polowania. Miejsce, skąd przyszli musiało być bardzo dziwne, skoro ludzi wychowywano tam tak, żeby umieli tylko zabijać inne istoty ludzkie, a nie potrafili polować na utrzymanie siebie i rodziny.

Związaaliśmy ręce tym dwóm olbrzymom i usadziliśmy ich przy ognisku. Obok nich leżały dwa ciała naszych zabitych ludzi. Na zewnątrz wschodziło Słońce, nasz Starszy Brat. Musiał być bardzo zawiedziony, bo bardzo lubi walkę, a zwłaszcza wojny, zaś to wszystko zdarzyło się kiedy na niebie był Księżyc, nasza Babka. Dzień czy noc, dla nas nie miało to znaczenia. Stało się coś, czego do tej pory nie miało miejsca. Należało porozmawiać i posłuchać mądrych głosów.

Przemawiać mógł każdy, wielu chciało natychmiast zabić tych ludzi.

- Nazwalimy ich *Lodowe Serca*, gdyż są jak potwory ze starych opowieści - powiedział mężczyzna o imieniu Leśny Kleszcz. - Sprawdźmy, czy ich serca naprawdę są z lodu. Gdy je wytniemy, będziemy mogli się przekonać.

- Sprawdźmy ich odwagę - dodała kobieta imieniem Kołyszące Się Trzciny. - Zobaczmy, czy znają jakieś pieśni śmierci.

Ja także miałem okazję przemówić.

- Uważam, że ci ludzie należą do mnie i moich przyjaciół - zacząłem - bo to my ich złapaliśmy. Jednak dajemy ich wam i każdy z was może decydować, co z nimi zrobić. Nie jestem zbyt mądry i nie potrafię powiedzieć, jak należy z nimi postąpić. Jeśli ich zatrzymamy, może będą pracować. Dawniej wielu ludzi tu zaadoptowano i są teraz częścią naszej wspólnoty. Dwóch naszych ludzi odeszło. Teraz mamy tu tych dwóch jeńców. Może ktoś zechce ich przyjąć. Może nauczą się mówić jak prawdziwe istoty ludzkie i wtedy powiedzą nam o miejscu, z którego przyszli. Powiedziałem już dosyć. To wszystko, co mam do powiedzenia.

Narada trwała dalej. Kiedy nadszedł czas na posiłek, rozwiązaaliśmy ręce obu mężczyznom. Jedli razem z nami zachowując się jak ludzie głodni, ale jednocześnie wdzię-

czni za dane im pożywienie. Potem znowu rozmawialiśmy. Słońce zachodziło, kiedy każdy powiedział swoje. Miło mi było słyszeć słowa podobne do moich własnych, choć powiedziane lepiej - bo wody dojrzałości płyną głębiej i więcej w nich ryb, aniżeli w wartkich strumieniach młodości. Starcy Noszący Rogi Rady - ci, którzy przemawiali w naszym imieniu na spotkaniach Wielkiej Konfederacji, widzieli tę sprawę podobnie jak ja. To dobrze, bo wiedziałem, że oni zwykle radzą się Matek Klanowych - kobiet, które rzadko przemawiają na naradach, ale ich słowa są rozsądne i zawsze wskazują, jaką powziąć decyzję.

Obaj mężczyźni zostali adoptowani. Wyjaśniono im to tak, aby zrozumieli, o co chodzi. Nie pozostawiono ich całkiem w spokoju podczas tej długiej narady, mieli więc na ciele ślady od ukłucia nożem czy przypalenia końcem pochodni. Były to małe rany, które szybko się zagoją, za to odwaga, jaką okazali w czasie tego testu urządzonego przez nasze kobiety i dzieci dowiodła, że zasługiwali na przebywanie wśród nas, bo żaden się nie zasłaniał i nie krzyczał z bólu.

Ten młodszy, który miał szczupłą twarz z wielkim zagłębionym nosem pod ognistą czupryną, został zaadoptowany przez wdowę po starym Sika W Kącie.

- Będzie moim synem - powiedziała. - Nazwę go Dzieciąto.

Dругi zaś został przyjęty przez rodzinę Rzucającego Światło. Na piersiach i udach miał wielkie blizny, które świadczyły, że przez długi czas był wojownikiem. Włosy na jego głowie miały barwę jesienną trawy, ale owłosione miał całe ciało, szczególnie piersi, gdzie włosy były czarne. Nazwalimy go Niedźwiedzia Pierś. Było to odpowiednie imię, bo zaadoptował go właśnie Klan Niedźwiedzia. Klan ten zawsze słyszał ze swych lekarzy i wkrótce się okazało, że Niedźwiedzia Pierś umie składać złamane kończyny i zna takie sposoby leczenia, które wielu pomogły. Wuj Rzucającego Światło nauczył go innych praktyk leczniczych i po latach sława Niedźwiedziej Pierśi jako lekarza rozniosła się wśród wszystkich na-

szych ludzi. Już nigdy nas nie opuścili. Przytyli od naszego jedzenia i poślubili dobre kobiety, które dały im wiele dzieci. Z początku nazywali nas *Dzikimi* - słowem ze swego języka, ale gdy nauczyli się naszych słów, przeszłość i stara mowa opadły z nich jak liście opadają z klonów w Mieście Spadających Liści, zaś na wiosnę zielone pączki naszej mowy otworzyły im usta.

Nie widzieliśmy już więcej takich ludzi, choć z biegiem lat docierały do nas różne opowieści. Ludzie Jutrzenki opowiadali o istotach, jak nasi Lodowe Serca, które przybyły w kanu większym niż cała nasza chata. Powiadano, że wszyscy zginęli i więcej ludzi już się nie pojawiło. Byli jak nawałnice, które czasami wieją od wielkiej słonej wody; nawałnice, które słabną, trzęsą się i zamierają po dotarciu w głąb ładu. Nawałnice przychodzą i odchodzą, ale Ziemia pozostaje.

Jestem już bardzo stary. Dzieciąto i Niedźwiedzia Pierś od wielu lat już nie żyją, a niektórzy z was są ich dziećmi. Być może wasza skóra jest bledsza i macie oczy w kolorze nieba, ale jesteście prawdziwymi ludźmi, tak jak wasi ojcowie stali się prawdziwymi istotami ludzkimi po zaadoptowaniu. Wasze dzieci zobaczą więcej niż nasze. Tak było zawsze, ale w przeciwieństwie do większości naszych ludzi nie sądzę, aby opowieść o Lodowych Sercach dobiegła już końca. To prawda, nauczyliśmy się, że Lodowe Serca są ludźmi. Nauczyliśmy się, że śmiech jest wielką bronią, która może stopić zimne serce. Jestem jednak przekonany, że któregoś dnia przybędzie do nas więcej ludzi z nawałnic - tych, którzy umiemy zabijać inne istoty ludzkie, a nie potrafiały polować. Być może tym razem będzie ich więcej i będą mieli dziwne zamiary przywłaszczenia sobie tego kraju, tak jak się zatrzymuje ulubioną miskę czy parę mokasynów.

Posłuchajcie, z czego zwierzył mi się Dzieciąto po wielu latach życia wśród nas.

- Rozglądający Się Lisie, jesteś moim bratem - powiedział - a ja nigdy dotąd nie miałem brata. Jesteś mi bliższy niż Eryk...

Niedźwiedzia Pierś, bo ona ma dobre serce, ale nie umie myśleć. Chcę ci powiedzieć coś, co - musisz mi obiecać - masz przekazać naszym dzieciom. Mówię tobie, bo ty rozumiesz więcej niż inni, którzy mi przytakują, ale rozglądają się na boki zniecierpliwieni, kiedy z nimi rozmawiam. Przybyliśmy tu zagarnąć ziemię, bo w naszym kraju nie starczało jej dla wszystkich. Zamiast tego jednak ta ziemia nas zagarnęła. To jednak nie koniec. Pewnego dnia przyjdą następni ludzie tacy, jak ja. Długo nad tym myślałem i uważam, że następnym razem zginie więcej ludzi i będziecie musieli długo walczyć, ale wasza ziemia jest silna, Rozglądający Się Lisie. Jest potężna i ty o tym wiesz. Jeśli zostaniecie blisko niej, jeśli jej nie zaprzepaście, ona znowu zwycięży. Powiedz to naszym dzieciom.

Robiłem to przez całe życie. Tu kończy się moja opowieść.

Joseph Bruchac

Przełożył Marek Maciołek

Na podstawie: Joseph Bruchac: *The Ice Hearts*. Cold Mountain Press, Austin 1979. Copyright by Joseph Bruchac.

Opowieść ta ukazała się wcześniej jako broszura „Biblioteki Tawacnu” nr 9.



## WOJNA I SOJUSZ FRANCUSKO-INDIAŃSKI (2)

Podobnie jak różne były zwyczaje polityczne Europejczyków i Indian, tak i w odmienny sposób prowadzono wojny. Wojna występowała w kulturze obydwu społeczeństw, jednakże przyczyny jej wypowiedzenia i sposób prowadzenia bardzo się różniły. Europejczycy posiadali długą historię podbojów i okupacji innych narodów. Indianie nie podbijali wiosek swych wrogów, ani nie uzależniali ich od siebie. Armie europejskie były ogromne, ich wielonarodowy skład opierał się na najemnikach i powoływanych do wojska przedstawicielach klas niższych. Żołnierze nie odczuwali przywiązania do określonego kraju, nie mieli powodu żeby za niego walczyć, zatem nie można było na nich polegać. Dlatego też ich mundury były w bardzo jaskrawych kolorach, żeby nie mogli uciec i ukryć się w puszczy. Bitwa toczyła się pomiędzy dwoma szeregami żołnierzy, dowodzonymi umiejętnie przez straż tylną, składającą się z konnych oficerów, wywodzących się najczęściej ze szlachty. Szeregowi żołnierze pełnili rolę przysłowiowego „mięsa armatniego”. Honory i splendor przypadał wyłącznie oficerom i przeważnie nie miał nic wspólnego z osobistą odwagą. U Indian natomiast, wojna dawała szansę zdobycia prestiżu i szacunku każdemu wojownikowi. Przypominała polowanie, wojownik stosował różne fortele, żeby pokonać wroga, tak samo jak myśliwy tropiący zwierzynę.

Dwóch irokeskich wojowników opuszczało wioskę, by po wielu dniach wędrówki dotrzeć do kraju Huronów. Tam przyczajali się w ukryciu i dokładnie obserwowali zachowanie ludzi, by w odpowiednim momencie zaatakować, wziąć skalpy i wycofać się. Po oddaleniu się w bezpieczne miejsce, sporo czasu poświęcali na upamiętnienie swych bohaterskich czynów w postaci obrzkowej historii wyprawy wyrzytej na ka-

wałku kory. W rodzinnej wiosce posłużyła ona do odtworzenia przebiegu wyprawy. Jednak Huroni musieli pomścić tę znieprawę i postępowali dokładnie tak samo: wielodniowa wędrówka, obserwacja długiego domu Irokezów, nocny wypad, skalpy i ucieczka. Najistotniejsze w całej tej wendecie było to, która z grup wykaże się większą pomysłowością i odwagą, która poniży wroga, zdobędzie skalpy czy jeńców - mszcząc się za krzywdy wyrządzone w swej wiosce. We wzajemnych zmaganiach każda ze stron potrzebowała drugiej jako przeciwnika.

Różnice pomiędzy sposobem prowadzenia działań wojennych przez Europejczyków i Indian stają się wyraźniejsze, jeśli przyjrzymy się francuskim taktikom podboju i pacyfikacji irokeskich wiosek. Tuż przed przybyciem francuskich oddziałów, Irokezi zwykle opuszczali wioskę, pozostawiając ją wrogowi. Francuzi spędzali wiele dni na paleniu długich domów i pallisad, na niszczeniu zapasów żywności i wycinaniu kukurydzy z indiańskich pól. Kiedy cały teren zrównano z ziemią, wznoszono przy dźwiękach trąbek i werbli flagę z herbem królewskim, symbolizującym francuskie zwierzchnictwo nad tymi ziemiami, a także potęgę zwycięzcy nad pokonanym wrogiem. Ta pretensjonalna i napuszczona ceremonia nie miała dla Irokezów większego znaczenia, gdyż świadomie unikali starcia i nie czuli się pokonani. Choć Francuzi nie odnosili żadnych znaczących sukcesów, to ich główne założenia strategiczne nie ulegały zmianie. Kiedy zaatakowano Onondagów rozkazy brzmiały - zabić i nie brać jeńców. Polityka stosowana wobec Lisów zmierzała do ich całkowitej eksterminacji.

Francuski sposób prowadzenia wojen uważany był przez Indian jako czyste chłórzostwo, a umieranie za władcę pozbawione było sensu. Czymś niedorzecznym był

marsz barona Dieskau i jego wojska szerokim traktem nad jezioro George w 1755 roku, kiedy to doskonale zabarykadowani Anglicy mogli strzelać do nich jak do kaczek. W pojęciu Indian, zwycięstwo nie powinno być zbrotzone krwią zwycięzcy.

Dla Indian wojny miały charakter „żałobny”, tzn. brano jeńców lub skalpy dla pomszczenia tych, którzy zginęli w ich wiosce. Było to kulturowe ograniczenie aktów agresji, gdyż wojna miała na celu przywrócenie równowagi sił. Żadna z atakujących stron nie wzięłaby nigdy więcej jeńców niż wynosiła liczba poległych w ich własnym plemieniu. Rzecz jasna, nie prowadzono żadnych statystyk i choć powszechnie uznawano, że za śmierć ważnego wodza musi zginąć wielu wrogów, to jednak rażące naruszenie proporcji traktowane było jako bezprawie i świętokradztwo. Podobne zasady obowiązywały przy wymianie prezentów, gdzie przestrzegano wzajemności i równowartości wymiany. Ciągłe przyjmowanie prezentów bez jednoczesnego podarowania czegoś w zamian grosiło interwencją sił nadprzyrodzonych. Podobnie też branie jeńców czy skalpów bez strat własnych nie przynosiło honoru, a mogło wywołać gniew duchów. Tradycje kulturowe zakazywały takiego postępowania.

Wojna „żałobna” jako sposób rekompensaty przelanej krwi, wiązała się ściśle z pokrewieństwem. Istotną rolę odgrywały tu kobiety, to one prosiły wojowników o zrekompensowanie czy pomszczenie śmierci bliskich. Kobiety rodziły dzieci, a mężczyźni odpowiedzialni byli za ich utrzymanie. Polując wnosili dar żywności, handlując - dar dobrobytu, walcząc - dar siły ludzkiej. Dary te pochodziły z bezpośredniej konfrontacji ze śmiercią; z niebezpieczeństw długiej podróży, z ryzyka starcia ze zwierzęciem, a przede wszystkim z groźby wpadnięcia w pułapkę zastawioną przez wroga. Im więcej odwagi wymagało zdobycie tych darów, tym były one cenniejsze i dawały większy prestiż. Opowieści o polowaniach i podróżach, a zwłaszcza o wyprawach wojennych miały szczególne znaczenie kulturowe, mianowicie upamięt-

niały odwagę, szczerłość i hojność związaną z obdarowywaniem i jako takie były podstawową metodą zdobywania prestiżu. Przywództwo nie wiązało się z przywilejami o charakterze materialnym, ale raczej z symbolicznym osignięciem honoru i prestiżu. Stąd też równość w sferze materialnej i względna „harmonia” w indiańskich społecznościach częściowo wynikały z zasady odwracania gwałtu na zewnątrz. Swoją drogą ciekawe, czy rozwój rolnictwa, zwłaszcza wśród Huronów i Irokezów, a także stosunkowy spadek rangi polowania nie spowodował, że mężczyźni zaczęli szukać prestiżu w wojnach żałobnych. Wojownicy zamiast rywalizować między sobą o zdobycie prestiżu, skierowali swą agresję na zewnątrz, zatem wojna sama w sobie była obiektywnym warunkiem wewnętrznego pokoju. Można pójść jeszcze dalej i stwierdzić, że wojna służyła utrzymaniu równowagi w społeczeństwie. W gruncie rzeczy ci, którzy byli najbardziej nieugięci i najczęściej narażali się na niebezpieczeństwo, zdobywali największe znaczenie, ale także ginęli jako pierwsi. Poprzez zagrożenie totalną dominacją jednego przeciwnika nad drugim, działania odwetowe pozwalały zachować liczebność i względną równowagę obu stron.

Można by się zastanawiać, czy wojna nie była tym, co istotnie łączyło mężczyzn i kobiety. Wszystko, co robiła kobieta, miało związek z życiem, natomiast to, co robił mężczyzna wiązało się ze śmiercią. Życiowe role obu płci miały charakter przeciwstawny i zarazem uzupełniający się. Kobiety uznając zasadę, że najlepszą obroną jest atak, nakłaniały mężczyzn do zaatakowania wrogiego plemienia, oddalając tym samym niebezpieczeństwo od własnej wioski. To do nich - opiekunek życia - należała decyzja o adopcji, torturze czy zabiciu jeńca.

W takiej perspektywie życia i śmierci, nawet intymne związki między mężczyznami i kobietami podlegały rytualnym ustaleniom ze sfery tabu. W trakcie rytualnych przygotowań do polowania czy wyprawy wojennej mężczyźni powstrzymywali się od stosunków seksualnych ze swymi żonami.

To samo dotyczyło też branek podczas powrotu z wyprawy uwieńczonej sukcesem. Stosunki seksualne zabronione były również wówczas, gdy kobieta karmiła dziecko piersią, a trwało to z zasady kilka lat. Można by się doszukiwać powiązań między długimi okresami abstynencji seksualnej a wojną.

Naruszenie sfery życia i śmierci, mogłoby symbolicznie doprowadzić do obalenia istniejącego porządku społecznego: wojownicy zostaliby pozbawieni determinacji i odwagi, a kobiety - daru dawania życia. W ten sposób wojna wchodziła w skład definicji człowieczeństwa. W skrajnych przypadkach wojna całkowicie niszczyła zasadę wzajemnego uzupełniania się mężczyzn i kobiet. Wojownicy oddani całkowicie wojnie nie żenili się. Z drugiej strony, jak mężczyzna pozbawiony odwagi mógł zawrzeć związek małżeński?

Wojna nieprzypadkowo kształtowała społeczeństwo i osobowość jego członków. Presja społeczna popychała mężczyznę do wojny, choć pojedyncze osoby mogły jej uniknąć: stare kobiety domagały się pomśzczenia przelanej krwi, młodzieńcy uczyli się znosić ból i choć trudno było się wymigać z wojennych rytuałów, to pojedynczy wojownicy sporadycznie wycofywali się z udziału w wojennych wyprawach motywując swą decyzję niepomyślnymi snami.

W przymierzu francusko-indiańskim doszło do wymieszania się obu tradycji. Indianie uczyli Kanadyjczyków nie tylko sztuki życia w puszczy przez wszystkie pory roku, ale i metod wojny partyzanckiej. Wiele *coureurs de bois* (złowców) brało czynny udział w indiańskim tańcu, podczas którego Francuzi szli do centralnej chaty w wiosce i opowiadali o swych wojennych czynach. Francuscy gubernatorzy doskonale wiedzieli jak nakłonić Indian do ataku na wspólnego wroga. Byli zdolni nie tylko do torturowania jeńców w indiański sposób, ale również do jedzenia zupy z indiańskich czy angielskich więźniów.

Francuska armia czy kanadyjska milicja właściwie nie poruszały się bez ochrony

indiańskich patroli, których zadaniem było nie tylko śledzenie wroga, ale i zaopatrywanie żołnierzy w świeże mięso. W większości wypraw wojennych liczba indiańskich wojowników była równa lub nawet większa od liczby francuskich żołnierzy czy członków kanadyjskiej milicji. Indianie uczestniczyli we wszystkich wyprawach wojennych, skierowanych przeciwko angielskim kolonom. Zarówno Micmakowie, Huroni, Abenakowie, jak i Irokezi uczestniczyli w morskich ekspedycjach, których celem był atak na punkty skupu futer w Zatoce Hudsona, na rybackie wioski w Nowej Fundlandii czy angielskie kolonie w Nowej Anglii i w Indiach Zachodnich.

Indianie odgrywali decydującą rolę w wojnach kolonialnych. Gdyby nie oni, Quebec zostałby zdobyty w 1690 roku podczas nieudanej próby zajęcia go przez oddziały Phipsa. Także dwadzieścia lat później, w 1710 roku, stawili się w liczbie siedmiuset-ośmiuset wojowników, aby bronić Quebecu przed iwazją floty Walkera, którą rozgromiono na wodach Zatoki Hudsona. Helen H. Turner uważa, że Irokezi zostali pokonani nie tyle przez Francuzów, ile przez Indian z obszaru Wielkich Jezior. Wśród Indian krążyło powiedzenie, że „Irokezi cierpieli jedynie na niewielkie zawroty głowy” po starciu z Francuzami i chyba niewiele miało się ono z prawdą, gdyż prawdziwe straty wśród Irokezów przyniosły dopiero walki z zachodnimi plemionami.

Komunikacja również w znacznej mierze uzależniona była od Indian. „Telegraf-canoë” był często szybszy niż statki, a Francuzi z Quebecu otrzymywali wieści o wydarzeniach znad Zatoki Hudsona, z Nowej Anglii czy z Europy bezpośrednio od Indian. Opłynięcie statkiem półwyspu Quebec trwało dłużej niż podróż kanu na trasie Zatoka Jamesa-Taddoussac. Szpiegowska sieć Abenaków z Bostonu przechwytywała i przekazywała szlakami Kennebec-Chaudiere strategiczne informacje, dopiero co nadeszłe z Europy, jak i wieści o podbojach, projektowanych przez angielskie kolonie.

Wojna prowadzona przez białych w Ameryce Północnej w wyniku wpływów i ucze-

stnictwa Indian daleko odbiegła od jej europejskiego pierwowzoru, ale i tradycyjna wojna indiańska nie oparła się obcym wpływom. Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że tubylcy wykorzystali nowy układ kolonialny, w jakim się znaleźli, do podtrzymania tradycyjnych wojen żałobnych. Można wskazać na to szereg dowodów, na przykład francuski oficer z Fortu Duquesne (Pittsburgh) na pytanie skierowane do grupy zwycięskich tubylców porwacających z wyprawy od Karoliny, dlaczego kierują się do swych wiosek zamiast iść na kolejną wyprawę, otrzymał odpowiedź: „Mamy dosyć jeńców”. W rzeczywistości, grupa ta uprowadziła dwóch ludzi nie tracąc ani jednego wojownika, co w oczach Indian było lepsze od straty choćby jednego wojownika nawet przy jednoczesnym pojmaniu pięciu czy dziesięciu jeńców.

Tradycyjna forma walki uległa jednak zmianie. Micmakowie najeżdżający rybaków z Nowej Fundlandii, Kahnawake i Huroni z Quebecu walczyli z plemionami Lisów znad Wielkich Jezior, a nawet z Chic-kasawami w Luizjanie wpadali w tryby walk kolonialnych, mimo iż z punktu widzenia ich własnej kultury celem walki miało być jedynie zdobycie jeńców, zastępujących zmarłych i poległych w wiosce. Zmienił się charakter wojen żałobnych na obszarze imperium, gdzie partyzantka finansowana była przez mocarstwa, gdzie nowa broń była doskonalsza w zadawaniu śmierci, gdzie ekonomia rynku przejęła kontrolę nad cenami skalpów, a egzystencja rodzin wojowników była kształtowana przez kolonialne mocarstwa. To nie tylko psuło tradycyjne wartości, ale również niszczyło mechanizm, który utrzymywał rozpiętość działań wojennych na określonym poziomie.

Oczywiście, zmiany w skali i charakterze wojen wiążą się ściśle ze zmianami technicznymi: żelazne tomahawki przewyższały drewniane maczugi, strzelby skuteczniejsze były niż strzały, działa i proch używane przez Europejczyków potęgowały siłę niszczenia. Jednak źródło istotniejszych przemian spoczywało w transformacji

ogólnych zasad społecznych. Choć niektórzy Indianie oszukiwali swych europejskich partnerów, sprzedając im fałszywe skóry zrobione ze skór łosia lub bizona, to jednak ich tradycyjne wojny poczęły służyć celom kolonialnych mocarstw, których rozwojowi towarzyszyła ewolucja od tradycyjnej do synkretycznej formy walki. Ewolucja ta przebiegała na trzech kolejnych płaszczyznach:

1. Społeczny nacisk na podejmowanie walki (żałoba, chęć zdobycia prestiżu) nie oznaczał, że nie istniały ekonomiczne czy demograficzne przyczyny wojny. Rozrastające się populacje, rywalizując o środki do życia, stwarzały nieuchronnie więcej okazji do konfliktów. Wojna nie tylko podyktowana była przez subiektywne motywacje społeczne, ale ponadto działania te nie były wymuszone przez czynniki ekonomiczne. Przeważnie nie brano łupów. Najlepszym tego przykładem jest połączony atak Huronów i Francuzów na Irokeską wioskę w roku 1615, kiedy to Indianie odmówili Champlatinowi wzięcia udziału w jej ostatecznej pacyfikacji.

2. Duże zapotrzebowanie na skóry bobrów wpłynęło na zwiększenie się liczby działań wojennych. Nie należy tego jednak wiązać tylko z rozwojem ekonomii rynkowej. Historycy są obecnie zdania, że „bobrowe wojny” nie były wyłącznie rezultatem handlu skórą, ale także licznych epidemii. To sugerowałoby tradycyjne przyczyny rozpętania wojny, mianowicie, nasiliły się typowe działania wojenne, gdyż wielu ludzi umierało na ospę i inne choroby zakaźne [wzrastało więc zapotrzebowanie na jeńców - przyp. tłum.]. Trzeba to mieć na uwadze, chociaż argument ten nie dotyczy najazdów skierowanych na szlaki handlowe i faktorie. Co więcej, ataki te przeprowadzono wtedy, gdy powodowały najbardziej katastrofalne efekty ekonomiczne. Choć wojen o futra nie podejmowano wyłącznie z pobudek ekonomicznych, to jednak oczywisty jest wzrost ich znaczenia.

3. Wreszcie na trzeciej płaszczyźnie, kiedy wyznaczono nagrody za indiańskie skal-



py, a Indianom płacono za uwolnionych jeńców, wydaje się, że mamy do czynienia z rodzajem rynkowej ekonomii wojny. Towarzyszy temu powoli rosnące uzależnienie Indian od ich europejskich partnerów.

Cały system fortyfikacyjny stworzony przez Francuzów w Ameryce Północnej (i w mniejszym stopniu przez Anglików) miał na celu nie tylko ochronę sprzymierzonych Indian przed ich wrogiem, ale również ułatwiać sprawowanie kontroli nad tymi plecionami. Mimo że żaden z fortów nie został postawiony bez zgody Indian i mimo że kolonialne mocarstwa musiały składać hołd indiańskiej suwerenności w postaci corocznych przydziałów prezentów, to jednak forty pozostawały pod całkowitą kontrolą Europejczyków.

Według europejskich standardów nie były to fortece nie do zdobycia, za to w realiach indiańskich - tak. Podobnie jak na straconej pozycji byłaby regularna armia europejska w walce z zaczajonymi Indianami, tak Indianie byli bezsilni w walce na otwartym polu u bram fortu. W indiańskiej kulturze wojennej nie do pomyslenia było rozpoczęcie walki z przeświadczeniem śmierci, czyli rozpoczęcie ataku z zimną kalkulacją, że poświęcenie pewnej liczby żołnierzy doprowadzi do zwycięstwa. Wreszcie Indianie nie byli zdolni do kopania okopów ani do stosowania innych technik ułatwiających oblężenie fortu.

W swojej książce *Voyage an Canada* J.C.B. opisuje dwa spotkania, jakie miały miejsce podczas Wojny Siedmioletniej w fortach Duquesne i Michillimackinac, w których wzięło udział kilkaset Indian i zaledwie kilkudziesięciu Francuzów. Zdając sobie sprawę z nierównowagi sił i nie będąc przekonani o lojalności sprzymierzeńców, Francuzi zachowali na tyle ostrożność, aby nie przeprowadzać spotkań wewnątrz fortów. Zamiast tego stanęli twarzą w twarz z Indianami na zewnątrz fortu, mając za plecami dwa działa. Przykład ten doskonale obrazuje stosunki francusko-indiańskie w połowie XVIII wieku. Nie ukrywano wzajemnego braku zaufania, a przymierza opierały się bardziej na wspólnych interesach, niż na przyjaźni.

Czy zatem możemy mówić o istnieniu „Nowej Francji nad Wielkimi Jeziorami”? Suwerenność tubylców pozostawała wciąż nienaruszona i żaden indiański naród nie poczuwał się do przestrzegania francuskiej zasad. Militarna siła Francji całkowicie opierała się na poparciu ze strony indiańskich sprzymierzeńców. Kiedy w 1758 roku suwerenność plecion doliny Ohio została uznana przez Anglików traktatem z Easton, zaprzestano one walki po stronie francuskiej, co ostatecznie doprowadziło do klęski Francji na tych terenach. Z drugiej strony, Francuzi posiadali znaczną siłę i wpływy na obszarze Wielkich Jezior, a ich obecność była często wykorzystywana przez Indian do ich własnych celów strategicznych. Forty wraz z dostawami amunicji były przyczółkami europejskiego imperializmu. Spadek militarnej rangi Francuzów i zamknięcie punktów skupu futer, a następnie zajęcie ich przez wojska angielskie doprowadziło do wojny Pontiac. Decydującym argumentem do jej rozpoczęcia była jednak odmowa Brytyjczyków do uznania tubylczej suwerenności na zajmowanych przez nich terenach. W czasie powstania Indianie przejęli kontrolę nad wieloma fortami, lecz nie udało im się zdobyć silnych fortyfikacji Detroit, Niagary i Fortu Duquesne, zaprojektowanych przez Vaubana. Po klęsce Pontiac Indianie zaczęli tracić kontrolę nad własnymi ziemiami. To bolesne wkroczenie wroga w ich niezależność było pierwszym krokiem w podporządkowywaniu ich zasadom kolonizatorów.

Historia kontaktów białych i Indian w Ameryce Północnej - na płaszczyźnie militarnej i nie tylko - jest jednocześnie historią kulturowej wymiany, wzajemnych wpływów, partnerstwa, procesu podboju i kolonizacji. Obustronne zapożyczanie taktyk wojny partyzanckiej i fortyfikacji, ukazuje kulturową wymianę w dziedziczeniu wojennej między Europejczykami a Indianami. Co więcej, budowa europejskich fortów w sercu kraju Indian oraz zwiększająca się liczba indiańskich wojen, podsycanych i niekiedy finansowanych przez europejskie mocarstwa, była podstawową częścią me-

chanizmu najazdu. Kiedy Indianie otrzymywali od Francuzów zapłatę za fałszywe czy prawdziwe skóry Indian bądź Anglików, wykorzystywali Francuzów do swych własnych celów - i jednocześnie sami będąc przez nich wykorzystywani. Powolny ale nieodwracalny proces uzależniania zaczął opanowywać tubylcze pleciony.

Najnowsze metody badań etno-historycznych kładą duży nacisk na wzajemne partnerstwo, które to miałyby być podstawowym czynnikiem stymulującym stosunki między dwoma zderzającymi się kulturami. Takie spojrzenie jest z pewnością konieczne i słuszne, ale nie wolno zapominać o bardziej realistycznym czynniku, jakim jest równowaga sił między narodami. Mocarstwa walczyły o zawładnięcie indiań-

skimi ziemiami i plecionami, a zdobywcy były stopniowo wcielane do rozrastającej się sieci światowego handlu. Obie strony były uzależnione od siebie, obie się wzajemnie wykorzystywały sądząc, że są sprytniejsze; ale obok tego postępował także proces inwazji, który doprowadził europejską kolonizację do zwycięstwa nad indiańskimi narodami.

Denys Delage

Tłumaczenie  
Małgorzata Tomczyk

Artykuł pochodzi z wydawanego w Austrii magazynu *EUROPEAN REVIEW OF NATIVE AMERICAN STUDIES*, 1991, vol. 5, no. 1.





# LISY I SAUKOWIE

Plemiona Lisów i Sauków były niegdyś dwoma odrębnymi ludami o podobnych zwyczajach i językach, należących do algonkińskiej rodziny językowej. Według niektórych hipotez pierwotną ojczyzną tych plemion były tereny nad zatoką Saginaw jeziora Michigana, skąd po licznych konfliktach z Ottawami i Narodem Neutralnym osiadły w lasach północnego Wisconsinu. Stamtąd jednak wyparli je Czipejowie (Ojibwa) i wtedy Lisy oraz Saukowie osiedlili się na terenach leżących pomiędzy południowymi brzegami Jeziora Górnego, zachodnimi brzegami Jeziora Michigan i wschodnim brzegiem Missisipi. Była to kraina lasów i preri porosłej wysoką trawą.

Pierwotna nazwa (i używana znów od niedawna) Lisów brzmiała **Mesquaki**, co znaczy **Ludzie Czerwonej Ziemi** [*mesqua* - czerwony i *aki* - ziemia]. Lisami (Fox) nazwano ich przez przypadek. Otóż, podczas polowania paru Mesquaki z klanu Lisa natknęło się na grupę Francuzów, którzy usiłowali się dowiedzieć, z jakiego plemienia pochodzą. Indianie podali im nazwę swego klanu, którą rozciągnięto później niesłusznie na całe plemię. Z kolei nazwa Sauk jest skróconą formą dwóch słów: *asawus* - żółty i *aki* - ziemia.

Były to plemiona bardzo zadziorne i wojownicze, jako jedyne z grupy algonkińskiej prowadziły wojny z Francuzami, których nienawidziły za sprzedaż broni palnej Czipejowi, przez co Czipejowie wyparli ich z nowej ojczyzny w północnym Wisconsinie.

W połowie XVIII wieku Lisy osiedlili się w Little Butte des Mortes, na zachodnim brzegu rzeki Fox i wpadli na niezły pomysł przysporzenia sobie dochodu. Mianowicie, od każdego handlarza, przekraczającego rzekę, pobierali myto. W przypadku odmo-

wy ulszczenia stosownej opłaty, konfiskata całego mienia była najłagodniejszym środkiem represyjnym... Nie podobało się to Francuzom i w 1746 roku pewien handlarz o nazwisku Morand zebrał grupę francusko-indiańską i po kilku starciach przepędził Lisów w dół rzeki Wisconsin, którzy później osiedlili się na wysokości dzisiejszego miasta Bridgeport.

Lisy często sprzymierzali się z Siuksami i Irokezami. Prawie nieustannie prowadzili wojny z plemieniem Illinois i z pomocą Sauków udało im się ich wyprzeć z dobrych terenów łowieckich w północno-zachodniej części stanu Illinois. Ich militarną siłę złamał dopiero sojusz plemion Czipejów, Potawatomi i Menomini, które korzystały z poparcia Francuzów. Późniejsza wojna Czarnego Jastrzębia z Amerykanami była raczej podyktowana determinacją, aniżeli nadzieją na zwycięstwo.

Pod koniec XVIII wieku (1780) Lisy razem z Siuksami zaatakowali raz jeszcze Czipejów, ale ponieśli druzgoczącą klęskę. Ci, którzy ocalili przyłączyli się do Sauków.

W latach dwudziestych XIX wieku spotkał ich ten sam los co plemiona na Wschodzie. Wyplenerani przez Amerykanów musieli uchodzić na zachód i zajmować tereny należące do innych ludów, co wywoływało kolejne wojny międzyplemienne i przyczyniało się do ogólnego osłabiania Indian.

Część Sauków podpisała oszukańczy traktat z rządem USA, mocą którego odstępowala swe tereny w Illinois i Wisconsinie. „Podpisałem umowę piórem dziękuję - powiedział w swej autobiografii Czarny Jastrząb (1767-1838), wódz wojenny Sauków - nie wiedząc, że tym samym ruchem oddaję rządowi moją rodzinną wieś.” Amerykańscy osadnicy wtargnęli na terytorium Sauków wyci-

nając lasy, tępiąc zwierzynę i zaopatrując Indian w alkohol. Czarny Jastrząb protestował, ale nikt go nie chciał słuchać.

Latem 1828 roku Czarny Jastrząb prowadził swoje plemię na łowy na bizona. Po powrocie, kiedy już śnieg ublelił okoliczne pagórki, Indianie ujrzeli, że ich zimowe siedziby zburzyli osadnicy. Było już za późno na odbudowywanie chat i plemię spędziło zimę w namiotach. Bardzo wiele dzieci i starców pomarło wtedy z zimna.

Wiosną Saukowie zbudowali nową wieś, w której udało im się mieszkać dwa lata, po czym osadnicy i to osiedle zrównali z ziemią. Wtedy Czarny Jastrząb zebrał wszystkich swoich ludzi (około tysiąca osób, w tym dzieci i kobiety) i powędrował na zachód, aż do ujścia rzeki Rock wpadającej do Missisipi. Nie zdołał się tam jednak długo utrzymać. Wiosną 1832 wrócił na swe rodzinne ziemie w Illinois, zamieszkał już przez białych osadników, którzy zaczęli domagać się od rządu przywrócenia poprzedniego stanu rzeczy. Ze wszystkich stron ściągnęły zbrojne oddziały ochotników, milicji, a na koniec - regularnej armii federalnej. Rozgorzała pięciodniowa wojna, którą nazwano imieniem Czarnego Jastrzębia. Indianie dzielnie się bronili i atakowali przeważające siły białych, choć wynik całej batalii był z góry przesądzony. Stopniowo odchodzili też sprzymierzeńcy Czarnego Jastrzębia, aż pozostał sam z garstką swoich wiernych Sauków.

Ostateczny cios zadano Indianom u ujścia rzeki Bad Axe, na terenie dzisiejszego Wisconsinu. Osaczony wódz wywiesił białą flagę, biali jednak nie przyjęli jego kapitulacji i otworzyli ogień - ludzie Czarnego Jastrzębia rzucili się do ucieczki na tratwach i wpraw przez rzekę, ale z drugiego brzegu zaatakowali ich Siuksowie, namówieni przez białych do bratobójczej walki. Czarny Jastrząb uszedł cało z tej rzezi i szukał schronienia u Winnebagów, ale ci wydali go białym. Dumnego wodza zamknięto w klatce niczym dzikie zwierzę i obwieszono go kraju.

Podczas tej upokarzającej podróży Czarny Jastrząb zobaczył po raz pierwszy rozmach cywilizacji białych. Duże wrażenie zrobiły na nim bite drogi, linie kolejowe, statki i miasta. W Waszyngtonie został dobrze przyjęty przez prezydenta Andrew Jacksona, którego interwencja sprawiła, że staremu wodzowi pozwolono na koniec osiąść w małej wiosce nad rzeką Des Moines - prawym dopływem Missisipi - gdzie wkrótce dokonał żywota.

W 1850 roku rząd przyznał Lisom rezerwat w stanie Kansas, do którego mieli się wszyscy przeprowadzić. Po drodze rozbili na jakiś czas obóz nad rzeką Iowa, w pobliżu miejscowości Tama. Około roku 1857-59, pod nieobecność Lisów, Saukowie zgodzili się przejąć ziemię w Kansas w indywidualne posiadanie. Kiedy Lisy dotarli do Kansas, rozgniewali się na Sauków za dysponowanie ziemią należącą do obydwu plemion bez ich wiedzy i po niespełna dwóch latach powrócili nad rzekę Iowa do Tama, gdzie wykupili teren o powierzchni dwóch tysięcy akrów. Później Biuro do Spraw Indian zakupiło dla nich dodatkowo jeszcze ponad tysiąc akrów.

W 1887 roku Saukowie ostatecznie زرekli się ziemi w Kansas i przenieśli się na Terytorium Indiańskie (Oklahoma), gdzie w 1889 podzielili swą ziemię na indywidualne działki, a nadwyżkę sprzedali rządowi Stanów Zjednoczonych.

Saukowie i Lisy znani są jako świetni rolnicy i hodowcy. Od dawna już uprawiali ryż, kukurydzę (której znali aż osiemnaście odmian), bób, dynie i tytoń. a w rezerwacie nauczyli się sadzić ziemniaki i hodować świnię. Wielu z nich podjęło też pracę w pobliskich fabrykach.

Na następnych stronach publikujemy charakterystykę wojny Czarnego Jastrzębia, ujawniającą taktykę działania obu stron konfliktu, wraz z przykładem jednej bitwy. □

Red.

Dziękujemy Annie Hofie za pomoc w opracowaniu materiału wstępnego.



Czarny Jastrząb i podlegli mu wodzowie zakuci w kajdany w Jefferson Barracks według rysunku George'a Catlina

## WOJNA CZARNEGO JASTRZĘBIA ROK 1832

### I. Plemiona Indian biorące udział w konflikcie.

Kickapoo, Winnebago, Pottawatomi, Człepewojowie, Lisy i Saukowie oraz Santee-Dakota jako sprzymierzeńcy rządu USA.

### II. Teren objęty działaniami zbrojnymi.

Części dzisiejszych stanów Illinois, Iowa, Minnesota i Wisconsin. Konkretyzując chodzi o ogromny obszar, którego wschodnią granicę stanowi jezioro Michigan; północną - wody jeziora Górnego; zachodnią natomiast wyznaczają miasta Grand Forks (północ) i Omaha (południe). Granicę południową wyznaczała linia Omaha - Detroit.

W roku 1830 obszar ten w pięćdziesięciu procentach pokryty był lasem. Nad rzekami Missisipi, Wisconsin, Rock i innymi przeważyły lasy liściaste, natomiast dalej ku północy i nad jeziorami dominowały bory iglaste. Z tego względu plemiona tu osiadłe, obok tradycyjnego myślistwa i zbieractwa, mogły również uprawiać ziemię. (Na prerii uprawianie ziemi metodą indiańską tzn. za pomocą motyki, było niemożliwe z racji dużego ukorzenia traw.)

### III. Liczebność Sauków i Lisów wraz z Sojusznikami.

Za Czarnym Jastrzęblem opowiedziało się około dwóch tysięcy samych Sauków i Lisów. Sprzymierzeńcy liczyli razem jakieś osiem tysięcy ludzi. Tak więc siły Indian można oszacować na około 1000-1500 wojowników.

### IV. Uzbrojenie Indian

Oprócz broni tradycyjnej, prawie każdy z Indian posiadał strzelbę. Przeważnie był to angielski "Brown Bess" - skałkówka. Waga: 5 kg, długość 110 cm, kaliber 14-18 mm. Praktyczna szybkostrzelność: 1 strzał na minutę.

### V. Dowodzenie

System indiański zawodził tu całkowicie: Czarny Jastrząb musiał każdą decyzję

uzgadniać z poszczególnymi wodzami lub naczelnikami związków wojennych. Wodzowie ci musieli później nakłonić swych ludzi do wykonania określonego zadania. Załamanie się pierwszej koncepcji pociągało za sobą nowe uzgodnienia i tak bez końca.

### VI. Zaopatrzenie

Pomiągając zapasy skałek, prochu i amunicji, orientacyjne zapasy żywnościowe Indian pozwalały prowadzić kampanię przez co najmniej 3-5 tygodni (jeśli nie zdobyli dodatkowych zapasów).

### VII. Amerykanie

**Wojska regularne.** Podstawową jednostką piechoty był pułk (do 1000 ludzi), podzielony na 10-12 kompanii (po 58-70 ludzi). Słabością pułków amerykańskich była praktyka nie uzupełniania oddziału, tzn. jeśli liczebność żołnierzy znacznie się zmniejszyła - całą jednostkę rozformowano. Dopiero w czasie Wojny Secesyjnej konfederaci odstąpili od tworzenia ciągle nowych jednostek, a zaczęli uzupełniać stare. Żołnierz zarabiał 10 dolarów na miesiąc. Dlatego też, łagodnie mówiąc, element żołnierski nie należał do szczególnie dobranych.

**Uzbrojenie.** Karabin skałkowy z bagnietem kłującym (wąska klinga), kaliber 14-18 mm, donośność do 600 m, zasięg skutecznego strzału: 250 m.

**Cechy akcji piechoty.** Szyk dwu lub trzyszeregowy, związany z systemem ognia (preferowano ogień salwowy - plutonowy). Atak na bagnety w szyku kolumnowym lub wcześniej spotykana tyraliera (żołnierz co jeden metr), szybkość kroku w ataku: 130 na minutę.

**Mundur i oporządzenie:** plecak, chleb, manierka, ładownica, wełniany koc, połowa płaszcza namiotu, zima - długi płaszcz. Wszystko to zarzucone na błękitny mundur, przytrzymywane rzemionnymi pasami. Na głowie czako lub kapelusz z kitką czy piórami.

**Kawaleria.** Uzbrojenie: karabinek (tzw. dragoński), para pistoletów (później rewolwer), szabla. Podstawową jednostką jest pułk liczący około 500 ludzi. Słabo wy-

szkolona do działań zespołowych, preferująca walkę ogniową, chyba że pochodzi z południa - wtedy zdarzały się nawet szarże.

**Artyleria.** Podstawowa jednostka: bateria 6-działowa (dzieliła się na konną i pozycyjną). Liczyła około 250 ludzi. Według relacji polskich oficerów, przebywających w Stanach Zjednoczonych po roku 1831 (Powstanie Listopadowe), artyleria była tylko dwukrotnie gorsza od polskiej, co oznaczało zupełnie przyzwolny poziom.

**Milicja:** każdy Amerykanin w wieku 16-45 lat, zdolny do noszenia broni. Czas służby: od 90 do 180 dni, zależnie od uchwały stanowej. Uzbrojenie własne. W czasie wojny dostarczano prowiant i inne zaopatrzenie ze składów stanu, który formował oddział. Za cały okres kampanii wypłacano żołd. Dowódców wybierano w sposób demokratyczny, drogą głosowania. Wartość bojowa - różna. Groźna dzięki swej dużej liczebności.

### VIII. Wojna 1832 roku

Amerykanie spodziewali się wybuchu walk, mogli więc się odpowiednio przygotować.

Plan Czarnego Jastrzębia zakładał więcej niż życzliwą postawę Anglików z Kanady, a także neutralność indiańskich plemion tradycyjnie wrogich (Siuksowie, Czipejowie). Podstawowym działaniem było zniszczenie możliwie największej liczby farmerów amerykańskich, rozpalenia możliwie największego płomienia wojny. „Musimy być jak pożar traw” - mówił Czarny Jastrząb - w sensie totalnym, zanim nadejdą regularne siły Stanów Zjednoczonych, które miano zwalczać uporczywą partyzantką. W ten sposób chciał zaprowadzić pokój i uratować przynajmniej część plemiennych ziem.

Naczelnym dowódcą Amerykanów był gen. Atkinson. Podstawą planu było oprowadzenie dróg wodnych Missisipi i Wisconsin, stworzenie umocnionych punktów nad przepławami, z których szybko kolumny wsparte milicją i indiańskimi sprzymierzeńcami, będą przeszukiwać teren i niszczyć „każdego wrogię Indianina powyżej 12 lat”.

Po spacyfikowaniu plemion, osiedli się w rezerwach, nad którymi opiekę sprawować będą okoliczne forty. Plan gen. Atkinsona uznano za wzorowy. Wszystkie późniejsze operacje przeciwko Indianom prowadzono według tego schematu.

28 marca 1832 roku Czarny Jastrząb na czele około 500 wojowników wkroczył na terytorium Illinois. Natychmiast przeciw niemu ruszyły dwa pułki piechoty, 150 kawalerzystów i 800-1000 milicjantów (w sumie ponad dwa tysiące ludzi pod dowództwem płk. Zacharego Taylora). Kapitanem milicji z osady New Salem był przyszły prezydent, wyzwoliciel Murzynów - Abraham Lincoln. Do połowy kwietnia Czarnego Jastrzębia wyparto z Illinois. Przybyły nowe posiłki amerykańskie (200 kawalerzystów, 800 milicjantów i nowy wódz - gen. Lewis Cassa). Gen Cassa po uformowaniu kordonu spychał Indian w temple 20 km dziennie na terytorium dzisiejszego stanu Wisconsin. W maju gen. Dodge rozgromił Sauków i Winnebagów nad rzeką Wisconsin. W tym samym czasie gen. Atkinson dokonał pogromu Pottawatomic w bitwie nad Indianiskim Potokiem. Jednocześnie Santee-Dakotowie obsadzili brzeg Missisipi. 15 maja 1832 roku gen. Atkinson wydał odezwę do sojuszników Czarnego Jastrzębia (rozpowszechnianą przez tzw. przyjaznych Indian), w której wzywał do: natychmiastowego zaprzestania wroglej działalności przeciw Stanom Zjednoczonym, wydania wodzów „winiących wojnie” oraz do pomocy w zwalczaniu „band” Czarnego Jastrzębia. W zamian gwarantował bezpieczeństwo i poszanowanie posiadanych przez nich obecnych terenów.

Sojusznicy opuścili Czarnego Jastrzębia, jego lud został zmasakrowany podczas przepawy przez Missisipi (bardzo sprawną akcją kanonierki „Warrior” i żołnierzy gen. Atkinsona). Resztki „buntowników (sześćdziesięciu ośmiu) wycięli Siuksowie (skałp Sauka lub Lisa wart był wówczas 12 dolarów, czyli niezły miesięczny zarobek żołnierza piechoty). Do niewoli do-

stało się 279 Indian, łącznie z samym Czarnym Jastrzęblem. W ten sposób problem części Sauków i Lisów został szczęśliwie rozwiązany. Niedobitki zwolenników Czarnego Jastrzębia przesiedlono nad rzekę Iowa, gdzie władał jego konkurent, przyjaciel rządu amerykańskiego - Keokuk, ale to już zupełnie inna historia.

### IX. Przykład bitwy

*Bitwa na rzekę Wisconsin - maj 1832, gen. Dogde kontra Białe Obłoki (wódz Winnebagów).*

Amerykanie: 3 kompanie regularnej piechoty, 3 armaty ośmiofuntowe, 30 kawalerzystów, 70 milicjantów, 15 zwiadowców indiańskich oraz tabor 60 wozów (80 osób obsługi). Razem: 350-400 ludzi.

Indianie: około 150 Winnebagów i 90-150 Sauków.

Siłły dość wyrównane, biorąc pod uwagę morale żołnierzy amerykańskich.

Białe Obłoki zagrał dość zrezygnie, wyczekał na moment przepawy przez rzekę. Przepuścił indiańskich zwiadowców i jedną kompanię regularną, po czym zaatakował artylerzystów i tabor. Na brodzie powstało małe plekiełko. Gen. Dogde kazał zostawić wozy beznadziejnie tkwiące w rzece, a ratować działa. Z nieludzkim wysiłkiem przeciągnięto je z powrotem na brzeg. Jednocześnie dwie pozostałe kompanie otworzyły ogień na zarośla, w których ukrywali się Indianie. Nie mogło to przynieść wielkich strat, gdyż ogień prowadzono na maksymalną donośność karabinów. Białe Obłoki powinien poprowadzić swych wojowników na bród. Najważniejsze w tym starciu były wozy z zapasami. Nie przeprowadził takiego ataku, ponieważ było to sprzeczne z indiańskim sposobem prowadzenia walki.

Tymczasem kpt. Garison, dowódca kompanii, która przeprowadziła się na „indiański” brzeg, skupił swoich ludzi i zaatakował najpierw ogniem, a później bagnietami prawe skrzydło Indian. Ci znowu zamiast sami przejść do ataku (Garison miał 50 ludzi), zaczęli się wycofywać i razić ogniem z dalszej odległości. Było to znów zgodne z za-

sadą indiańskiej sztuki wojennej, ale zupełnie sprzeczne z powszechnie panującymi metodami strategicznymi.

Gen. Dogde kazał milicji i obsłudze taborów osłaniać ogniem artylerzystów. Następnie poprowadził dwie kompanie regularnego wojska do ataku na bagnety. Jego żołnierze stojąc jeszcze w wodzie odrzucili bagnietami, przy wsparciu ognia dział, rozpaczliwy kontratak indiański, który nie miał już teraz żadnych szans powodzenia. Grupa 26 wojowników indiańskich cofnęła się na wyższe partie brzegu, gdzie walcząc do końca przy walecznej osłonie odwrotu swych towarzyszy, została wybita do nogi.

Indianie stracili około 40 zabitych i pewnie drugie tyle rannych. General Dogde przyznał się do utraty 21 zabitych i 70 rannych, ale później zeznał w raporcie o dość licznych dezercjach w swoim oddziale, co mogło stanowić zasłonę dymną dla ukrycia strat rzeczywistych. Gen. Dogde ocalił zapasy, wygrał bitwę, lecz nie zniszczył sił bojowych przeciwnika. Sytuacja nie była więc klarowna.

Indiańskie pojmowanie wojny było inne, po przegranej bitwie należało odprawić ceremonie rytualne, pogadać z duchami, a dopiero potem pomyśleć, co dalej. Tymczasem oddziały amerykańskie już następnego dnia ruszyły naprzód. Marsz kolumny białych, która parła niepowstrzymanie, wywarł odpowiednie wrażenie. Winnebagowie porzucili sprawę Czarnego Jastrzębia, a wystarczyło zaledwie uwiesić się przy tej kolumnie i nękać nieustannie, aby po pewnym czasie rozbić ją lub zmusić do odwrotu. Niestety, sztuka wojenna Indian nie przewidywała działań długofalowych, regularnych. Stosowano się do zasady: podkraść się jak lis, zaatakować jak puma i ulotnić się jak ptak. Taka praktyka przynosiła sukcesy w drobnych starciach, ale podczas działań kompleksowych była to prosta droga do klęski.

□

Custer junior

# RAY A YOUNG BEAR

RAY A YOUNG BEAR - ur. 1950 w Tama (Iowa). Poeta z ludu Mesquaki, znanego lepiej pod nazwą Lisy i Saukowie. Studiował w Kalifornii. Wiersze pisze od szesnastego roku życia. Drukował je w wielu antologiach, a pierwszy autorski tomik *Winter of the Salamander* (z którego pochodzą publikowane tu przekłady) wydał w 1980 roku. W 1985 ukazał się zbiór wspomnień, przekładów i tradycyjnych opowieści ze Środkowego Zachodu *Stories from the Woodland Region*. Interesuje się również tradycyjną muzyką indiańską i sam założył grupę bębniistów o nazwie WOODLAND DRUM. Mieszka w plemiennym osiedlu w Tama.



## babcia

gdybym miał wypatrzyć  
jej sylwetkę z odległości mili  
wiedziałbym od razu  
że to ona.  
fioletowa chustka  
i plastikowa torba  
na zakupy.  
gdybym poczuł  
czyjeś ręce na głowie  
wiedziałbym  
że to jej  
ciepłe i wilgotne  
pachnące korzeniami.  
gdybym usłyszał  
głos  
dochodzący  
ze skały  
wiedziałbym  
a jej słowa  
falowałyby we mnie  
jak światło na kimś  
kto rozdmuchuje popiół  
z ogniska zasypiającego  
w nocy.

## strzęp człowieka

strzęp człowieka

w sam raz żeby umrzeć  
na szlaku żelaznej kolei.

wiem dobrze  
co czuli wracając długo  
chwiejnym krokiem

szczerząc zęby do gwiazd.

coś w tym jest, w tych  
pociągach, picu i indianach  
którzy nie mają nic

do stracenia.

## niczyje wspomnienia

czuję tylko ciepło piecyka  
tuż koło mnie. elektryczność  
buczy po wszystkich ścianach  
mieszkania.  
oplata nas sieć przewodów  
mile płynącej wody.  
żona siedzi w pokoju  
i wyszywa rozetki.  
telewizja nieustannie  
mówi sama do siebie.  
spoglądam na srebrny  
zegarek na ręce, już czas  
wstawić pizzę.  
zaraz wracam.

wychodzi na to

że nikt naprawdę  
nie docenia przyjscia włosny.  
zapowiada się ciężka

dla każdego.  
nikt nie wie, co się zdarzy.  
ludzie

zmęczeni swym towarzystwem  
szukają nowych twarzy  
i nowych czasów.  
lubię myśleć, że taki nie jestem.

jeszcze dziesięć minut.  
na dworze dzwonki w kampusie  
wybijają muzykę, studenci  
wytężają umysły i ciała brnąc  
przez głębię w zamyśleniu brwi.  
grymasny księżyc

zawisa we mgle.  
nie wzbudzi  
niczyich wspomnień.

jest rano i właśnie  
zamknąłem okna. ptaki  
zbierają się na gałęzi  
i dają sobie znaki.  
wszystkie śpiewają prosto  
w jedyne otwarte okno,  
równocześnie.  
żona jeszcze wyszywa.  
głosy z telewizji  
przypominają mi  
sposób mówienia ludzi  
w obliczu śmierci.  
tak półgłosem, że prawie  
nic nie słyszysz ale wiesz,  
że to ważne.

widzę sylwetkę  
człowieka biegnącego  
do drzwi naszego domu.  
daję mu znaki,  
że nie mogę otworzyć  
ze względu na warstwy lodu.  
zbliża się  
i widzę zmarłą twarz mego syna  
w pełni dojrzałą.

na ścianie wisi obraz  
z kwiatami a w następną noc  
pada deszcz.  
nic już nie ma znaczenia.

jestem jak goły pająk  
w lecie, karmiący się deszczem,  
naśladujący świeże kielki  
roślin.

wiersze przełożył  
MAREK MAGIOŁEK



W 1987 roku ukazała się przejmująca książka meksykańskiego dziennikarza, powieściopisarza i krytyka, Fernando Beniteza *Indianie Meksyku* (wydana w Polsce przez PIW w 1972 roku), która dzięki swej niezwykle bezpośredniej i autentycznej stała się dość głośna w Meksyku i poza jego granicami. Dziś, gdy na skutek Indianie powstania w stanie Chiapas powracają do nas pytania o przyczyny protestów Indian i sposoby poprawy ich sytuacji, przypominamy kilka fragmentów ze wstępu do tej wciąż aktualnej książki. Ukazują one świat meksykańskich Indian w nieco innym, mniej znanym świetle i unaczynia boleśnie, jak mało zmienilo się w tym świecie mimo upływu kolejnych trzech dziesięcioleci.

FERNANDO BENITEZ

## MEKSYK NIEZNANY

Spostrzegliśmy z całą wyrazistością, że w Ameryce jedynie i całkowicie skolonizowani byli i są w dalszym ciągu Indianie. Biali latynosi podczas dawnych walk o niepodległość walczyli przeciwko odsunięciu ich od polityki; Afrykanie i Azjaci mogli walczyć jednocześnie przeciwko: odsunięciu od polityki, nierówności rasowej i ekonomicznej. Czuli się oni członkami wielkiej, jednolitej i solidarnej wspólnoty, spadkobiercami tej samej tradycji, braćmi złączonymi więzami krwi i kultury. Walki prowadzone w innych koloniach wpływają pobudzająco na ich własną walkę, podczas gdy Indianie, izolowani w swoich wioskach, utrzymywani w ignorancji, pozostawali na uboczu prądów wyzwoleniczych, które były - i są nadal - wyłączną domeną białych(...)

Po militarnym podboju nowych terytoriów czy jak piszą niektórzy historycy, po „dokonaniu pacyfikacji”, proch zgromadzony w składach przestał już przynosić zyski i aby wynagrodzić tę stratę, ktoś wpadł na pomysł, żeby robić fajerwerki, rakiety i sprzedawać je Indianom. Tajemnicze, hałaśliwie wybuchające sztuczne ognie podbiły wyobraźnię Indian i już w XVI wieku żadne święto nie mogło się odbyć bez rakiet, fajerwerków i światec, które weszły do rytuału religijnego.

W miejscowości San Cristobal Las Casas, gdzie te zwyczaje przetrwały do dziś w formie niezmienionej, znajdują się ulice sprzedawców rakiet i światec; obdarci Indianie, zamłast zaopatrzyć się w nową odzież, kupują ogromne ilości sztucznych ognii, aby oświetlić dzień patrona wioski.

W ten sposób ukonstytuowała się też mayor-domia, „służba religijna”, wyznaczono do opieki nad świętymi osoby, do których obowiązków należało ponoszenie kosztów związanych z obchodami świąt. Te „prestżowe wydatki” uniemożliwiały najzdolniejszym nawet i najpracowitszym Indianom zebranie niewielkiego choćby kapitału. Gdy doszli do posiadania krowy, dwóch wieprzy i kawałka dobrej ziemi, musieli cały majątek poświęcać na opłacanie muzyki i ogni sztucznych, zwyczajowego jedzenia, ozdób, a nade wszystko alkoholu, bez którego cała uroczystość była nie do pomyślenia.

Indianin obraca się w zamkniętym kręgu alkoholizmu. Wszystko zaczyna się i kończy wódką: stewy, zbory, dzień odpoczynku, święto religijne, urodziny, małżeństwo, choroba, śmierć. Im bardziej Indianin jest osaczony i eksploatowany, tym więcej pije, w jego życiu pijaństwo pojawiło się nagle, jutrz po konkwistie (...). Czegoż jednak innego moglibyśmy od nich oczekiwać? Szok wywołany konkwistą i masowym niewolnictwem był tak wielki, że skutki tego można mierzyć jedynie w proporcjach, jakże przybrała u Indian chęć samounicestwienia. Sam Sahagun, zakonnik wybijający się w podwójnej roli likwidowania religii Indianie i tworzenia im nowej historii, przerażony degradacją Indianina proponował, aby powrócić do dawnych rytuałów Indianie, usuwając z nich bałwochwalstwo. Styl niewolnictwa, narzucony w małych miasteczkach, jak Tlaxiaco czy San

Cristobal, nie jest sprawą dnia wczorajszego. To rzeczywistość dnia dzisiejszego.

Słabość kolonizacji hiszpańskiej polegała na tym, że nie zdołała ona wchłonąć Indian do swego systemu; zabroniono im dostępu do nowej kultury i utrzymywano z dala od korzyści i przywilejów cywilizacji zachodniej. Ta nieumiejętność wcielenia zwyczajonych w całość imperium była przejawem flaska ideałów humanistycznych. Indianom zabrano osobowość, dając w zamian bardzo mało obcych idei; byli oni zaledwie pół-chrześcijanami i pół-ludźmi. Pozbawieni własnej kultury, niemogąc sobie przyswoić modelu nowych czasów, jak gdyby zawisnęli w próżni. Z jednej strony uważano ich za duże dzieci, a z drugiej wymagano pracy przewyższającej ludzkie siły(...)

Ciągle jeszcze clerikim na zastraszący brak techników, wydajemy wielkie sumy na broń i przedmioty zbytku, rządzący gromadzą fortuny, bogactwa pozostają w rękach nielicznych, a nawet takie kraje jak Meksyk, który zdołał wyswobodzić się spod władzy wojskowych - utrzymywała się ona przeszło 120 lat - i zachowuje stabilność polityczną, są również naznaczone piętnem kolonii. My, Meksykanie udajemy, że wierzymy w demokrację naszego kraju, ale nie możemy swobodnie wybrać deputowanego. Z dumą podkreślamy naszą samowystarczalność, ale jesteśmy niezdolni do wyprodukowania czegoś



tak prostego jak żarówka. Uważamy się za męskich i mocnych, lecz znosimy nie tylko wszelkiego rodzaju ograniczenia, zasadzki, niemoralność i głupotę, ale też - co gorsza - upodlającą nędzę i niesprawiedliwość w stosunku do większej części naszego narodu.

W sto pięćdziesiąt, trzydzieści, czy pięć lat po wywołaniu wszystko prowadzi do tego samego: bunt, nędza, kawa, cukier, bawełna, bogactwa mineralne. Boimy się dumpingu, spadku cen. Możliwosc załamania się cen na te produkty, uzyskiwane pracami milionów nieszczęśników, wisł jak miecz nad naszymi głowami. Wdajemy się w ponizające targi, a brakuje nam i decyzji, i inteligencji, aby zjednoczyć się i skutecznie bronić naszych skąpych surowców. Tworzymy Trzeci Świat, lecz jest to określenie abstrakcyjne. W rzeczywistości jesteśmy podzieleni; uważamy się za rywali i współzawodników.

Europa i Stany Zjednoczone rządzą nami i zubożają nas. Zniknęło ich wojsko, ich policja. I właściwie nie są one potrzebne, bo wystarczy wyższość techniki tych krajów, ich osłagnięcia naukowe, bogactwo i fakt, że sprawują kontrolę na naszych rynkach (...)

Indianie wobec prawa są Meksykanami i posiadają uprawnienia jak każdy Meksykanin. Wystarczy jednak opuścić miasto, aby zdać sobie sprawę z istniejącej dyskryminacji. Starowina na rynku San Cristobal może bezkarnie tłuc atletycznego Indianina, któremu nie wolno nawet się bronić; sprzedawca kapeluszy w Tlaxiaco

bezkarnie okrada i prześladowe swego dostawcę; Metys z Tarahumara zatrudnia przez siedem miesięcy dziecko jako pastucha i płaci za jego pracę medalikiem wizerunkiem Madonny - „medalikiem cudownym”, jak mi powiedział chłopiec precyzując ten rodzaj zapłaty.(...)

Fakt to niezaprzeczalny: w kraju nieurodzajnych ziem Indianie żyją na ziemiach najgorszych. Zielone parcele rozciągające się wokół osiedli, oazy, żyzne doliny, tereny nawodnione, rancza i majątki hodowlane, rozsiane jak grzyby na obszarze całego kraju, poza nielicznymi wyjątkami nie należą do nich.

Mieszkańcy pustyni są skazani na beznadziejną wegetację. Trzeba by użyć ogromnych sum i zastosować nowoczesną technikę, aby bezkresne suche równiny zamienić w pastwiska czy uprawne pola, zdolne do wyżywienia stale wzrastającej ludności. Nie znaleźliśmy rozwiązania dla tego problemu po trzydziestu latach od wprowadzenia reformy rolnej. Mieszkańcy gór, którzy schronili się tam przed niewolnictwem i tworzą część tego, co podróżnik norweski Carl Lumholz nazywa Meksykiem Nieznanym, żyją podobnie jak mieszkańcy pustyni. (...)

Lasy są, jak mówi Alfonso Caso, ostatnim bastionem Indian i z tego ostatniego bastionu zostali wygnani. „Pozostają im jaskinie - mówią Metysi - zawsze żyli w jaskiniach”. Nie mogą przenieść się gdzie indziej, jako że nie mają „papierów”, to znaczy tytułów własności. Tak więc po prostu tracą wszystko, co mają: wodę, lasy i ziemię. Czasami - jak to się dzieje w przypadku Indian Huicholów - po latach walki, wyzbywszy się ostatniego zaoszczędzonego grosza, potrafią odtworzyć dawne tytuły własności i wtedy odkrywają, że najeźdźcy, z papierami lub bez nich, rządzą ich własnością.

Musimy zrozumieć, że na Indian nie można patrzeć w oderwaniu. Nie są to jedynie większe czy mniejsze grupy żyjące w określonych warunkach, ale grupy z jakimiś dodatkami: Indianie i lasy, Indianie i ziemia, Indianie i kapelusze, Indianie i kawa, Indianie i henquen, Indianie i bydło. Innymi

słowy: wszystko, co posiadają - i to bez wyjątku - jest im wyrywane w bezpardonowej walce przez tysiące zachłannych Meksykanów lub też staje się przedmiotem spekulacji monopolów.

(...) Od wielu lat Indianie walczą o to, aby ich nie okradano i nie mordowano z powodu ziemi, którą zajmowali przez całe wieki, zanim pojawili się Hiszpanie. Na próżno. Próżne są też starania armii adwokatów INI ( Instituto Nacional Indigenista - Narodowy Instytut Indiański) ubiegających się o formalne uznanie własności ziemi. Biurokraci z Departamentu Rolnictwa, rozsiedli w stołecznych urzędach, są obojętni wobec bólu i bezwstydnego w swej karygodnej opieszałości. W roku 1965 w Sierra Huichola mogłem sam stwierdzić, że cały program budowy szkół, służby sanitarnej, lotnisk, nowych upraw, grozi upadkiem, ponieważ przez dziesiątki lat Departament Rolnictwa nie jest w stanie podjąć odpowiedzialnej decyzji. - Jeżeli nie dadzą nam dekretu prezydenta, nie bierzemy nowych nasion fasoli - mówią „Principales” (starszyzna osiedli) w San Andres w Sierra Huichola. - Nie chcemy szkół, nie chcemy dróg, nie chcemy wody - mówią mi komisarz z Copala - chcemy mieć naszą ziemię.

Rozkładają na stole stare plany i cienkimi, brudnymi palcami wskazują kawałki ziemi, które odebrali im biali sąsiedzi: - Najeźdźcy są tu, za tymi wzgórzami. Nie ma sposobu, aby ich wygnać.

Nienawiści plemienne, podziły przyczyniają się do pogorszenia sytuacji. W walce z wrogą grupą wydzierżawia się ziemię komunalną Metysom lub też szuka protekcji handlarza. W rezultacie trzeba walczyć z dwoma wrogami.

W świecie indiańskim wszystko od początku zostało ustanowione przez bogów i musi pozostać niezmiennione. Kto gwałci prawa tego świata, nie dostosowuje się do jego konwencji, dopuszcza się zamachu na życie całej grupy i albo się go usuwa, albo surowo karze. Stąd fatalizm świata Indian. Jeżeli coś zrobią, to dlatego, że tak postępowali bogowie czy przodkowie. Przeszłość wciąga rzuca na teraźniejszość, jest przy-

kładem, wskazówką, wzorcem. Wszystko, co odbiega od tego wzorca, uważa się za herezję i zdradę, tak indywidualną, jak zespolową. Nie ma tu nowatorów, bowiem świat ten powiela się w nieskończoność i w sposób prawie automatyczny. Indianin zapytany o powody, dla których postąpił wbrew swym interesom, niezmiennie odpowie: - Tak jest zwyczaj.

Zwyczaj jest normą. Każdy krok Indianina podyktowany jest nakazami przeszłości, a nie jego własną chęcią. Wspólne ścieżki łączą się pierwszego listopada, gdy zmarły odwiedza dom i przez jeden dzień żyje na łonie swojej rodziny. W rzeczywistości nie opuścił on nigdy ogniska domowego, wioski. Jego doświadczenie, odziedziczone po przodkach, kształtuje obecne pokolenie i je determinuje. Dlatego największym szacunkiem i poważaniem cieszy się starzec, bo zdołał przyswoić sobie znaczną część tego spadku, przekazywanego wiernie z ojców na dzieci. Wraz z wiekiem spadają na niego zaszczyty. To właśnie najstarsi mają głos decydujący, rozpoczynają obrady i do nich należy ostatnie słowo w czasie sądu, czarów i obrzędów. U Indian człowiekowi staremu przypadają wszystkie przywileje i honory. Prawie zawsze pozostawia przy sobie swoją starą żonę, a prócz tego poślubia młodą; ofiarowuje się mu pierwsze owoce ze zbiorów i pierwszy napój. Młodzi przy nim się nie liczą. Podporządkowanie starszemu jest całkowite. Zresztą jest to tylko wierne kłopotanie wzorców starożytności, kiedy to panowała *senectus*. Być może w ostatnich latach imperium azteckiego wojownicy posiadali prawo sprzeciwu, ale konkwista, wyniszczając żołnierzy, zniszczyła również efemeryczną *iuventus* i jako jeszcze jedna konsekwencja klęski utrwaliła się władza starych kapłanów.

W tym starannie zhierarchizowanym świecie ojciec symbolizuje bezpośredni autorytet. Dziecko jest uniwersalnym spadkobiercą ojca, wszystko, czego się nauczy, uzyska od ojca. Ojciec utrzymuje dziecko, uczy je pracować, szuka żony, żeni je; jest dla dziecka przykładem, a ono winno mu odplacać całkowitym posłuszeństwem i szacunkiem.

Znaczną część życia Indian regulują sprawy prestiżowe. Zgadają się oni na szkołę dlatego, że da jej prestiż, a nie ze względu na jej praktyczną przydatność. Chłopiec urodził się po to, aby nosić drwa i wodę, uprawiać pole kukurydziane, aby żyć z żoną w szałasie, dokładnie tak jak jego ojciec. Indianin nie może pojąć, po co jego syn siedzi w ławce i słucha jakichś niezrozumiałych opowieści, więc też pod byle pretekstem zabiera go ze sobą do pracy, na pole kukurydzy, które jest jedyną i prawdziwą szkołą dla chłopów.

Sytuacja kobiet jest gorsza. Są stworzone do pracy przy gospodarstwie i do rozenia dzieci, a nauka czytania i pisania to dla nich bezsensowna strata czasu. Kobieta jest istotą niższego rzędu, źródłem nieczystości zaturawiającym uświęcone otoczenie. W czasie uroczystości kobiety zajmują miejsce zawsze w określonej odległości za mężczyznami. Nierzadkie są wypadki dzielenia domu z inną kobietą. Pozbawiana jest ona praw religijnych i obywatelskich, można ją bić i karać bez żadnego protestu z jej strony. Jest ofiarą pijaństwa i spadają na nią wszelkie kary i poniżenia i tak już wystarczająco gorzkiej egzystencji. Cierpienia jej prowadzą często do samobójstwa. Wśród Misteków kobiety rzucają się do studni, „studni wiatru”, a wśród Indian Huicholów wystarczy podjąć decyzję o samobójstwie, aby umrzeć wiedząc zawczasu, jaka kara czeka za to w zaświatach.

W takim rozwarstwieniu buntownik musi zacząć od buntu przeciwko samemu sobie i przeciw mechanizmowi obronemu ustalonemu w ciągu wieków tej zależności. Zamiast uciec czy - jak to określa don Vasco de Quiroga - użyć broni królika, musi stanąć twarzą w twarz ze swymi wrogami, musi zniszczyć ochronną skorupę swego języka, czarów, najbardziej zakorzenionych obyczajów. Wszystko to wymaga ogromnego i trwałego wysiłku, nie mówiąc o niechęci, a nawet o karze ze strony współrodaków.

Kolonizowany, jak to wykazał Fanon, pozbywa się nerwice chwytając za broń i przepełniając kolonialistów. Indianie nie są szo-

ferami ani robotnikami, nie umieją czytać ani pisać; magiczna kultura wzięła ich w wloskach, poza którymi rozciąga się wrogi, nieublagany świat „białych ludzi, którzy zawsze mają rację”. To samIndianin nazywa białego w ten sposób, a biały uważa to nie tylko za rzecz oczywistą, ale też i za fundament podtrzymujący gmach zależności.

Warunki życia Indian w rejonach gęsto zaludnionych - Jukatan, Mixteca, a przede wszystkim Chiapas - przechodzą ludzką wyobraźnię. To już jest dno cierpień ludzkich. Indianin Tzeltal, upiwszy się w knajpie czy aptecce w San Cristobal eterem i wódką, traci pamięć. Gdy otrzeźwieje, może się okazać, że jest winien pięćdziesiąt pesos za alkohol, że trzyma na sznurku psa, którego kupił po pijanemu, albo też, że wcisnęło mu zakrwawiony nóż. Jeżeli mówią mu, że zabił i że jedynym sposobem spłacenia długów będzie jego niewolnicza praca w tartakach lub w majątkach Soconusco, musi w to uwierzyć albo zgnić w więzieniu.

Z człowiekiem, który pokornie spuszcza głowę, podnosząc ją tylko wówczas, gdy właściciel raczy się do niego zwrócić, z człowiekiem, który przez większą część swego życia dźwiga sześćdziesięciokilogramowe ciężary, można zrobić wszystko. Nie jest to człowiek, lecz juczne zwierzę. Przyjmuje wszystko, na wszystko się zgadza. Jest to jednak niewątpliwie człowiek nerwowo chory. Posiada bardzo jasną świadomość klęski i wynikającej z niej degradacji, podobnie jak jego przodkowie Aztekowie. Kto miał możliwość obserwowania zbiorowych orgii w oddalonych wioskach Chiapas, oglądał widowisko, w którym tortury osiągały natężenie porównywalne jedynie z wtwiskcją. Ogłuszeni bólem i poczuciem win, bliją się między sobą, głośno spowiadają się ze swoich cierpień, skowyczą jak zranione zwierzęta. To barbarzyńskie katharsis nie uzdrawia ich jednak. Nadal są chory - utracili duszę - i muszą szukać pomocy u szamanów. Nie będąc w stanie zmienić kolonialnej sytuacji, przyczyny ich ciężkiego losu, wynajdują sytuację zastępczą, którą mogliby opanować przy pomocy magii. Nie ma innego sposobu na wytlu-

maczenie choroby „strachu”, której stale ulega przeszło dwieście tysięcy Indian.

Indianin, którego uformowały jego dzieje, praca, liczebność, a także to, że był „nerwem społeczeństwa hiszpańskiego i kreolskiego”, ośrodkiem meksykańskiego życia aż do lat dwudziestych naszego wieku, przestał nim już być. Indianie z większości stali się mniejszością; kiedyś stanowili podstawę gospodarki, teraz stali się jej marginesem. Prymitywne rzemiosło wypiera ją maszyny. Popyt na ich sztukę deformuje ją i zmusza Indianina do powtarzania wciąż tych samych starych wzorów.

Rząd nie zaniedbuje Indian całkowicie. INI, Narodowy Instytut Indianiński ma osiągnięcia przewyższające wszystko, co do tej pory zrobiono w Ameryce Łacińskiej w dziedzinie antropologii stosowanej i co niegdyś proponowali Indianolodzy. Niektórzy twierdzą, że istota problemu tkwi w izolacji Indian, i kładą nacisk na rozbudowę sieci dróg. Inni mówią, że zasadniczą sprawą to oświata, a zatem należy budować szkoły. Jeszcze inni podkreślają, że Indiani dzielą choroby, a więc podstawową rzeczą jest udostępnienie im dobrodziejstw medycyny. Podkreśla się także znaczenie ziemi i nowoczesnych metod jej uprawy. Alfonso Caso mówi: „Tak, potrzebują oni wszystkich tych rzeczy naraz, a my musimy im je dać.” W ciągu szesnastu lat Instytut wybudował w rejonach zamieszkałych przez Indian setki szkół, tuziny dróg, szpitale, założył pola doświadczeniowe. Oplaca badania, adwokatów, lekarzy, nadaje nowy impuls sztuce ludowej, publikuje książki z tekstem dwujęzycznym, broszury, biuletyny, udziela drobnych pożyczek, w szkołach rozdaje śniadania i książki, organizuje sklepy i spółdzielnie, a mimo całego tego wysiłku mur - o którym mówił Bulnes - nie znika. Po jednej jego stronie, po stronie Indian, znajduje się obecnie INI ze swoim rocznym budżetem 21 milionów pesos i szczupłymi kadrami nauczycieli, antropologów, inżynierów, adwokatów. Po drugiej stronie, jak to już widzieliśmy, stoją monopole, firmy drzewne, kapitał rolny, pokątni adwokaci, biały metropolle, najeżdźca

na ziemię Indianińską, dobrze zorganizowane sieci handlowe o szerokim zasięgu, przekupne władze oraz często biskupi i księża wiejscy. Walka jest nierówna. Jeden tylko monopol posiada więcej personelu i oczywiście pieniędzy, niż Instytut. Polityka Instytutu, oparta na przekonywaniu, a nie na przemocy, ściera się gwałtownie w wielkimi oporami i wewnętrznymi przeciwieństwami, których przewyciężenie wymagałoby dłuższego czasu. Gubernatorzy stanów zamieszkałych przez większe skupiska Indian nie zawsze chętnie widzą działalność INI. Prowincjonalne rozgrywki polityczne, presja wielkich ośrodków jak San Cristobal czy Tlaxiaco, interesy latyfundiistów czy firm drzewnych, powiązane z osobistymi interesami sędziów, inżynierów Departamentu Rolnictwa, a nawet agentów Banku Ejdialnego - oto potężne czynniki sprzyjające utrzymaniu feudalizmu.

Gdy INI interweniuje, aby tu czy tam mianowano jakiegoś uczciwego Indianina, wówczas miejscowe władze i wyzyskiwacze, przyzwyczajeni do stosowania groźnej tyranii, pytają: „Po jakiego diabła Indianin ma się mieszać do polityki? To nie leży w jego kompetencji.” A przecież są to właśnie sprawy dotyczące Indian. Wszak zamiana przekupnego spekulanta, właściciela oberży, na człowieka, który będzie bronił interesów swej gminy, oznacza spełnienie dobrego uczynku na rzecz Indian. Urzędowe ustalenie cen kawy, administrowanie tartakami, sprzedaż kukurydzy po uczciwej cenie, usunięcie przekupnego sędziego - wszystko to nie jest wtrącaniem się ani w gospodarkę stanową, ani w administrację sądową, ale dokonaniem rzeczy równie pozytywnych i rewolucyjnych jak budowa szkoły czy drogi. Walka w stanach Oaxaca, Chiapas, czy w Tarahumara jest bezkompromisowa. Klasy feudalne nie odejdą dobrowolnie ze sceny politycznej i bronią się zaciekłe. Wiedzą dobrze, że jest to ich ostatni bój, i szukają oparcia w przekupstwie, w religii - biały metropolle wyróżniają się swym fanatyzmem - uciekają się do intryg, a w ostateczności do zabójstwa.

Mur zaczyna pękać. Jednakże aby go zlikwidować w ciągu paru lat, INI musi zmienić formy swej działalności. Musi przyjąć na siebie rolę banku i udzielać chłopom pożyczek nie tylko na podniesienie produkcji, ale też po to, by uwolnić ich od lichwiarzy. Musi kupować od nich kapelusze, kawę, henquen, budować fabryki do przerobu dostarczanych przez nich surowców, popierać osadnictwo. Musi też reprezentować niezłobną siłę polityczną, co pozwoliłoby uzyskać tytuły własności ziemi i wyeliminować przemytników, lichwiarzy i fabrykantów alkoholu.

Żaden z prezydentów republiki nie spojrział odważnie na ten problem ani też - w okresie inflacji tytułów: prezydent-sportowiec, prezydent-rolnik, finansista czy konstruktor - nie przejawiał ambicji zasłużeń na tytuł Ojca Indian, który to przydomek uzyskał Las Casas demaskując zbrodnie, don Vasco za wybudowanie dwóch szpitali, a Zumaraga po ufundowaniu szkoły, o krótkotrwałej zresztą egzystencji.

Problem Indianiński nie jest łatwy do rozwiązania z tego jeszcze powodu, że nierozwiązalnie wiąże się on z problemem chłopskim i należy je rozstrzygnąć powiązaniu ze sobą. Chłopi, czy to będą Indianie, czy nie, domagają się światła, kredytów, dróg, opieki sanitarnej; ale Indianie, ze względu na anachroniczność kultur, złą jakością posiadanych przez nich gruntów i wskutek wielu innych czynników, są najbardziej ze wszystkich bezbronni i wyzyskiwani. Wymagają specjalnego traktowania, sprawiedliwości i większej troski. Rozwiązanie leży zresztą w granicach naszych możliwości i nie wymaga nadzwyczajnych poświęceń. Systematyczna i zdecydowana akcja wyzwoleńcza z pewnością ogromnie siły i umożliwiłaby właściwe wykorzystanie zasobów, które dziś marnują się niepotrzebnie. □

Fernando Benitez

Wybrał i do druku podał  
Cień

## POEMAT BEZ ŁEZ

*pamięci chłopcom zamordowanym w:*

Dzisiaj zabili Juana z Huasicam,  
zabili go kijami w biały dzień,  
zabili go bo był Indianinem,  
bo pracował za trzech  
i nigdy nie zaspokoił głodu,  
bo razem z wołami  
ciągnął pług,  
bo spał na ziemi  
i okrywał się swych pechem,  
bo kochał ziemię  
tak jak ją kochają drzewa.  
Zabili go bo był dobry,  
bo był zwierzęciem jucznym.  
Stał  
na nogach ze skrwawioną duszą,  
z głową spuszczoną w dół,  
aby kukurydziane pola  
nie widziały jego  
zmasakrowanej twarzy,  
pozostał jak trawa  
po przejściu koni  
i nikt nic nie mówi.  
Zabili go tak by nikt nie zauważył,  
aby nikogo to nie obeszło.  
Wiatr nie przestał się błąkać,  
ptaki pojawiły się jak zawsze,  
a samotny step trwał nadal.  
Zabił go gospodarz  
bo miał taką ochotę.

Przełożył Roman Bala

*Etnias*, nr 2 1988

## Indianin z drewnianym karabinem na ramieniu

W sylwestrową noc 1993 roku potomkowie Majów z meksykańskiego stanu Chiapas, uzbrojeni w drewniane karabiny, maczety i kije, z imieniem Emiliano Zapata na ustach wystąpili przeciwko swym ciemiężycielom zajmując kilka miast. Wyparci przez uzbrojone w automatyczną broń wojska rządowe, schronili się w pobliskich górach. Rozpoczęło się polowanie, ale Indianie nie zamierzają się poddać, gdyż jak mówią „lepiej umrzeć stojąc, niż żyć kłęcząc”.

W momencie przybycia Hiszpanów do Meksyku, czasy świetności Majów na terytorium obecnego stanu Chiapas należały już do przeszłości. Ich potomkowie żyli w rozproszeniu prowadząc prymitywny tryb życia. W 1528 roku zostali podbici przez hiszpańskie wojska pod dowództwem Luisa Marina. Ich los nie różnił się niczym od innych ludów zamieszkujących tereny podlegające Kapitanii Generalnej Gwatemali [zob. **Tawacin** nr 1(18) z 1992, artykuł *Gwatemala - od cywilizacji Majów do „cywilizacji” białych*]. Hiszpanie długo nie mogli sobie podporządkować tych terenów z powodu ciągłych buntów miejscowej ludności. Do znaczniejszych należały bunty Indian Tzotzil i Tzeltal w latach 1528, 1712, 1717 oraz 1867-1870 (już w niepodległym Meksyku). Terytorium Chiapas zostało przyłączone do Meksyku zaraz po uzyskaniu przez nie niepodległości w 1821 roku. Dokonał tego cesarz Agustín I Iturbide, ale niepodległość Meksyku nie oznaczała niepodległości Indian, którzy żyli w nędzy, uprawiając małe poliska i pracując przymusowo na wielkich plantacjach kawy, całkowicie uzależnieni od swych pracodawców, wojska i skorumpowanych władz lokalnych. Ich sytuację pogorszyły jeszcze decyzje prezydenta Benito Juareza,

Indianina z plemienia Zapoteków, tego - jak o nim mówiono - „najbardziej białego ze wszystkich białych”, nakazujące rozwiązanie tradycyjnych wspólnot ziemskich (*comunidades*) stanowiących podstawę bytu społeczności Indianińskich.

Po raz pierwszy sytuacja Indian poprawiła się podczas meksykańskiej rewolucji (1910-1920), kiedy to Emiliano Zapata zaczął wcielać w życie swój Plan z Ayala, polegający na zwrocie Indianom zagrabionej ziemi i konfiskacie części wielkich majątków ziemskich. Dotyczyło to również stanu Chiapas. Następnym krokiem uczynił dopiero prezydent Lázaro Cárdenas, przeprowadzając ograniczoną reformę rolną, dzięki której około jednego miliona chłopów otrzymało ziemię.

Indianie z Chiapas zdołali przetrwać dzięki zamieszkiwaniu głównie na niedostępnych terenach górskich. Zachowują nadal swoje języki i są wierni tradycji. Do rzadkości należą przypadki opuszczenia rodzinnych miejsc. Są rolnikami, rzemieślnikami i robotnikami najemnymi. Uprawiają kukurydzę, fasolę, warzywa. Hodują zwierzęta domowe, głównie świnie, bydło i drób. Trudnią się garncarstwem, wyrobem odzieży, obuwia i instrumentów muzycznych. Swe wyroby sprzedają na targach lub metyskim pośrednikom. Pewny dochód osłagają również dzięki turystom. Ponadto wynajmują się do pracy sezonowej, głównie na plantacjach kawy. Cierpią na brak ziemi. Wielu nie ma jej w ogóle, podczas gdy 40% powierzchni stanu należy do kilku latyfundystów. Podstawowym pożywieniem są placki kukurydziane (*tortillas*), które nierzadko są ich jedyną strawą. 40% ludności to analfabeci.



Przyczyny ich buntów są zawsze takie same. Żyją w skrajnym ubóstwie. Wykorzystywani są przez posiadaczy ziemskich, których interesów strzegą skorumpowane władze. Często zabijani przez oddziały najemników, będących na usługach obszarników. Oszukiwani i wyzyskiwani przez pośredników, gdyż często nie stać ich na opłacenie kosztów transportu wytworzonych przez nich produktów. Cechuje ich nieufność do świata zewnętrznego oraz wszelkich obcych, szczególnie metysów i białych. Sam miałem okazję doświadczyć tego, gdy kilka lat temu podróżowałem po terenach ogarniętych obecnie powstaniem. Kiedy odwiedziłem wioskę San Juan de Chamula, kazano mi zapłacić za wstęp do kościoła. Należy również zapamiętać o wyciąganiu aparatu fotograficznego. Może to dziwić, ale tylko dzięki takiej postawie mają szansę na przetrwanie.

Wiele tłumaczy słowa Miguela Mendozy, Indianina Tzeltal z Ocoingo: „Gubernator stanu nie zwraca na nas uwagi, nie słucha nas. Słucha tylko bogaczy. Nasyła na nas różnych urzędników, a nas samych posyła do diabła [dosł. do *kurwy*, hiszp. *chingada madre*]. Grabią nas i palą nasze domy. Cztery razy wyrzucano nas z domów. Często jesteście bici. Zranili wiele naszych dzieci i kobiet; dla obrony naszych ziem... dla obrony naszych praw walczymy już czternaście lat”. Słowa te padły w 1988 roku, ale niestety dziś są one jeszcze bardziej aktualne. Pozostała więc tylko walka, bunt rozpaczy.

31 grudnia 1993 roku duża grupa Indian zajęła San Cristobal de Las Casas i inne okoliczne miasta. Zaatakowali miejscowe ośrodki władzy i ziemskich posiadaczy. Wbrew temu, co twierdził rząd meksykański, a za nim jak papugi powtarzały środki masowego przekazu, Indianie nie byli doskonale uzbrojeni, nie posiadali karabinów maszynowych. Dysponowali jedynie kilkoma starymi strzelbami. Reszta uzbrojenia stanowiły atrapy karabinów wycięte z drewna, kij, maczety i determinacja. I co ciekawe - podczas ataku nie zginęła ani jedna osoba. Rząd natomiast skierował

do walki z nimi regularne oddziały wojska, doskonale uzbrojone i wspomagane z powietrza przez helikoptery i samoloty z bombami na pokładzie. Dopiero wtedy zaczęli ginać ludzie i to głównie z rąk wojska, często były to osoby podejrzane o współpracę z powstańcami. Przecież każdy pretekst jest dobry. Informacji tych udzielił mi Bobby Castillo, działacz AIM (Ruch Indian Amerykańskich), który pod koniec stycznia, wraz z ekipą filmową odwiedził walczących w Chiapas Indian.

Wkrótce Indianie wycofali się z miast i schronili w górach, z zamiarem dalszej walki. Rząd utrzymywał, że nie jest to indiańskie powstanie lecz akcja bandy przestępców, terrorystów i wicherzycieli, których celem jest zakłócanie porządku publicznego. To śpiewka stara jak świat.

Strona rządowa zaoferowała dialog, ale warunkiem było zaprzestanie walki i całkowita kapitulacja. Indianie uznali tę ofertę za nie do przyjęcia, gdyż równałaby się samobójstwu. Bobby Castillo porównał tę sytuację do wydarzeń w Wounded Knee z 1973 roku [zob. **Tawacin** nr 1(21) z 1993], kiedy po poddaniu się Indian, wszyscy uczestnicy powstania - mimo złożonych obietnic i gwarancji - zostali na przestrzeni dwóch lat aresztowani i uwięzieni, gdyż *pokój oznacza dla rządu możliwość swobodnego prześladowania, wyzyskiwania i zabijania* - powiedział Bobby.

Powstańcy uwarunkowali złożenie broni uzyskaniem gwarancji bezpieczeństwa, zmiany sytuacji ekonomicznej i praw politycznych. Indianie nie wiedzą nic o układzie NAFTA (o strefie wolnego handlu pomiędzy Kanadą, USA i Meksykiem), niemniej jednak konsekwencje wejścia tego układu w życie mogą być dla nich bardzo poważne. Zakłada on bowiem konieczność restrukturyzacji rolnictwa w Meksyku, a to oznacza wycofanie z Konstytucji gwarancji prawa do posiadanej przez Indian ziemi.

Rząd został zmuszony przez opinię publiczną wielu krajów świata do podjęcia rozmów i pójsia na ustępstwa z Indianami. **Warto zauważyć, że żaden rząd na świecie nie potępił represji wobec Indian.**

Uczynili to zwykli ludzie oraz organizacje działające na rzecz praw człowieka. Odbyły się manifestacje w samym Meksyku, w USA, w Europie, również demonstracja przed Ambasadą Meksykańską w Warszawie z 21 stycznia br. wniosła swój wkład.

Ogromnie ucieszył mnie fragment artykułu w *Rzeczpospolitej* (nr 3 z 5 stycznia 1994), cytuję: „Rząd [Meksyku] twierdzi, że nie dał się wciągnąć w zasadzkę. Brutalne, słowe rozważanie wywołałoby z pewnością falę krytyk w całym cywilizowanym świecie. **Obrońcy Indian** [podkr. moje] ze Stanów Zjednoczonych, Kanady i Europy nie pozostawiliby na administracji Salinas suchej nitki”. To dowodzi, jak wielkie znaczenie ma działalność grup poparcia.

Indianie przypomnieli, że jeszcze istnieją. Dotychczas rząd próbował wszystkim wmówić, że istnieje tylko jeden naród - naród meksykański. Dla Indian jednak takie pojęcia jak „Meksyk” czy „naród meksykański” nie istnieją. Z tej chociażby przyczyny, że nie wyjeżdżają z miejsc swego zamieszkania i nie mają pojęcia jak wygląda reszta świata. Inną przyczyną jest traktowanie ich jak istoty gorszego gatunku, odmawianie im człowieczeństwa i prawa do życia w godności.

W wyniku tego konfliktu cierpi również pozostała ludność. Nie wszyscy bowiem biorą udział w powstaniu, nie wszyscy też popierają powstańców. Według raportu z 20 stycznia br. sporządzonego przez Nilo Cayuqueo, dyrektora Centrum Informacji Indian Ameryki Południowej i Środkowej (SAIIC), który przebywał na miejscu wydarzeń na zaproszenie Ośrodka Koordynującego Narodu Majów w Walce o Wyzwolenie - COLPUMALI (Coordinadora del Pueblo Maya en Lucha por su Liberación), w rejonie konfliktu istnieje kilka obozów dla uchodźców, zorganizowanych przez pozarządową organizację Komitet Koordynacji San Cristobal de las Casas, we współpracy z organizacjami praw człowieka i organizacjami humanitarnymi.

Okolo trzech tysięcy Majów znalazło schronienie w obozach dla uchodźców (założonych w 13 miastach) uciekając z terenu walk toczących się pomiędzy wojskiem meksykańskim a partyzantami Armii Narodowej im Zapaty. Uciekinierzy są głodni i nie mają ciepłej odzieży. Wielu jest chorych i rannych. Jest tam wiele dzieci. Uciekinierzy donoszą, że armia meksykańska porywa, torturuje i terroryzuje ludność. Założono specjalną linię telefoniczną dla osób chcących zadenuncjować partyzantów. Przechowywani w więzieniach pozbawieni są wszelkich kontaktów i odwiedzin.

Wydarzenia te mogą wywołać reakcję łańcuchową i spowodować bunt w innych częściach Meksyku. Możliwe, że staną się gwoździem do trumny dla PRI [Partia Instytucjonalno-Rewolucyjna], jednej z najdłuższej rządzących (ponad 60 lat) partii na świecie.

Roman Bala

P.S. Oceniając relacje środków masowego przekazu z tych wydarzeń trudno nie zauważyć, że pogubiły się one zupełnie. Początkowo opierały się wyłącznie na informacjach przedstawicieli meksykańskiej administracji, siłą rzeczy nieobiektywnych. Wypisywano totalne bzdury typu: *bunt inspirowany przez obce sily* lub, że *Indianie są doskonale uzbrojeni* i wiele innych. Panował ogromny chaos w przekazywanych informacjach. Wiele z nich nawzajem się wykluczało. Media polskie również nie były wyjątkiem. Rekordy nieobiektywności i bzdur pobili Małgorzata Tryc-Ostrowska (MT-O) z *Rzeczpospolitej*. Również pan Mroziewicz z *Polityki* dał dowody swej ignorancji. Stosunkowo najlepszą relacjąowała *Gazeta Wyborcza* dzięki artykułom Jacka Hinza, ale dopiero od drugiej połowy stycznia. Zasługę swą mają tam również Darek Wołowski i Wittek Jacórfyński.

R.B.

## Chiapas: chronologia

\* W sylwestrową noc 1993/94 kilkuset powstańców - w większości słabo uzbrojonych indiańskich chłopów - występuje przeciwko władzom i zajmuje 6 miast w graniczącej z Gwatemalą najuboższej meksykańskiej prowincji Chiapas.

\* Rebelianci, przedstawiający się jako Armia Wyzwolenia Narodowego im. Zapaty (przywódca powstania chłopskiego z początku XX w.), obezwładniają policjantów, atakują posterunki wojskowe i biorą do niewoli członków lokalnych władz i obszarników.

\* W manifestie rozklejonym w liczącym 80 tys. mieszkańców San Cristobal de Las Casas powstańcy ogłaszają, że „wypowiadają wojnę reżimowi meksykańskiemu za zbrodnie przeciwko rdzennej ludności”, a na zwołanym wlecu żądają dymisji rządu federalnego i reformy rolnej.

\* Przywódca powstańców, zwany „komendantem Marcosem”, oświadcza dziennikarzom, że jest to również protest przeciwko wejściu w życie układu o północnoamerykańskiej strefie wolnego handlu (NAFTA), który „jest wyrokiem śmierci dla rdzennej ludności Meksyku”.

\* Ministerstwo spraw wewnętrznych wyraża gotowość podjęcia dialogu z udziałem wszystkich organizacji i przedstawicieli ludności cywilnej "w celu unormowania sytuacji", odrzuca jednak ofertę mediacji z powstańcami za pośrednictwem duchownych, w tym znanego z obrony ubogich biskupa San Cristobal, Samuela Ruizę.

\* Po kilkudziesięciu godzinach rebelianci wycofują się w niedostępne góry, ścigani przez ścążnięte na pomoc oddziały wojska; kilkanaście tysięcy żołnierzy przeszukuje też wioski i domy, poszukując broni i sympatyków „zapatystów”.

\* W ciągu pierwszych dwóch tygodni powstania ginie od około 100 (według władz) do 400 (według źródeł kościelnych) osób.

\* W stolicy i innych wielkich miastach Meksyku dochodzi do masowych demonstracji, których uczestnicy domagają się od rządu podjęcia negocjacji i spełnienia żądań powstańców.

\* W całym kraju mnożą się groźby zamachów bombowych ze strony sprzyjających powstańcom radykałów; niektóre z groźb zostają spełnione.

\* Obawy wielu inwestorów, że konflikt w Chiapas może rozszerzyć się na cały kraj powodują gwałtowny spadek cen akcji na giełdzie.

\* Społeczność międzynarodowa coraz powszechniej potępia władze meksykańskie za krwawą rozprawę z powstańcami, niechęć do negocjacji oraz przypadki łamania praw człowieka w Chiapas, domagając się zmiany sytuacji.

\* W wielu krajach obu Ameryk i Europy organizowane są pikety i manifestacje pod placówkami dyplomatycznymi Meksyku i zbierane są podpisy pod petycjami w obronie Indian.

\* Prezydent Carlos Salinas de Gortari spotyka się w Chiapas z przedstawicielami 300 lokalnych organizacji i społeczność indiańskich, którzy - choć nie są bezpośrednio zaangażowani w konflikt - powtarzają skargi i żądania powstańców; prezydent obiecuje im spełnienie niektórych postulatów społecznych.

\* Pod naciskiem opinii publicznej prezydent uznaje też liczące ogółem około 2000 ludzi oddziały powstańcze za stronę prowadzącą wojnę i odstępuje od twierdzenia, że chłopski bunt jest dziełem antyrządowych cudzoziemskich najemników i radykalnych religijnych agitatorów.

\* Po ogłoszeniu jednostronnego rozejmu i amnestii dla uczestniczących w konflikcie powstańców i żołnierzy prezydent mianuje znanego ministra spraw zagranicznych i byłego burmistrza miasta Meksyku, Manuela Camacho Solis specjalnym wysłannikiem do spraw pokoju i pojednania, odpowiedzialnym za negocjacje z Indianami.

\* Prezydent zwolnia odpowiedzialnego za represje ministra spraw wewnętrznych i byłego gubernatora Chiapas, Patrocinio Gonzaleza Garrido, mianując na jego stanowisko prokuratora generalnego i obrońcę praw człowieka, Jorge Carplizo.

\* Według niezależnych obserwatorów z Chiapas, nadal mają tam miejsce przypadki represji wojska i policji wobec mieszkańców podejrzanych o sympatię dla Armii Wyzwolenia Narodowego im. Zapaty - w tym egzekucje bez sądu.

\* Obawiający się o swe bezpieczeństwo powstańcy zgadzają się na rozmowy dopiero, gdy mediacji podejmuje się biskup San Cristobal Samuel Ruiz a władze dopuszczają do dwóch wolnych stref w Chiapas konwoje z pomocą żywnościową i medyczną Czerwonego Krzyża.

\* W wielu wiejskich regionach środkowego i południowego Meksyku biedota i indiańscy chłopci organizują bunt, strajki i protesty, powołując się na inspirację działaniami Armii Wyzwolenia Narodowego im. Zapaty.

\* W stanie Oaxaca 4000 Indian okupuje w skoordynowanej akcji 13 budynków publicznych, domagając się ziemi, pracy i umorzenia ich długów w lokalnych bankach; 20 rannych - to bilans zamieszek w Santa Maria Xadani.

\* W stanie Michoacan 400 zbierających trzcinę cukrową robotników ogłasza chęć formalnego przystąpienia do organizacji „zapatystów”; podobne deklaracje nadchodzą z innych miejsc.

\* Rząd przekazuje 250 mln dolarów na rozbudowę dróg w Chiapas i 90 mln dolarów na programy pomocy społecznej w Oaxaca.

\* W tym samym dniu, w 24 godziny po uwolnieniu przez powstańców wziętego od Nowego Roku byłego gubernatora Chiapas, generala Absallona Castellanos, rozpoczynają się negocjacje obserwowane przez 650 dziennikarzy.

\* Mieszkańcy San Cristobal z sympatią witają 16 zamaskowanych delegatów Armii Wyzwolenia Narodowego im. Zapaty (w tym trzy kobiety), którzy oświadczają, że nie przyjechali „po przebaczenie i jałmużnę, ale po to, by domagać się poszanowania praw człowieka wszystkich Meksykan, sprawiedliwości, wolności i demokracji”.

\* Przedstawiciel rządu oświadcza w odpowiedzi, że „przedmiotem negocjacji nie będą sprawy ogólnonarodowe, ale problemy gospodarcze, społeczne i polityczne stanu”.

\* Stopniowo wzajemne ustępstwa stron doprowadzają do tego, że powstańcy godzą się ograniczyć rozmowy do spraw lokalnych, zaś wysłannik rządu przyznaje, że do załagodzenia konfliktu niezbędne będzie „umocnienie instytucji republiki i nowe traktowanie tubylczych społeczności w całym kraju”.

\* W zawartym 2 marca tymczasowym porozumieniu władze zobowiązują się m.in. do przekazania indiańskim chłopom ziemi zajmowanej nielegalnie przez obszarników, rozpoczęcia programu robót publicznych w stanie Chiapas, poprawy systemu oświaty i ochrony zdrowia oraz zaprzestania dyskryminacji tubylców.

\* Osiągnięte porozumienie konsultowane jest przez powstańców z indiańskimi społecznościami i organizacjami w Chiapas.

\* W Meksyku nabiera rozmachu przydencka kampania wyborcza, w której istotną rolę odgrywa kwestia rozwiązania problemów społecznych i etnicznych kraju.

opracował: Cień



Wybrana bibliografia w języku polskim dotycząca w całości (I) lub częściowo (II) stanu Chiapas.

### I.

1. Rosario Castellanos: *Balun Canan*. Wyd. Literackie [dalej skrót WL] Kraków 1989.
2. Ricardo Pozas: *Juan Perez Jolote*. WL. Kraków 1977.

### II.

3. Ameryka Indiańska? PWN. Warszawa 1971.
4. Fernando Benitez: *Indianie Meksyku*. PIW. Warszawa 1972.
5. Elżbieta Dzikowska: *Niełatwo być Indianinem*. KiW. Warszawa 1976.
6. Irena Kisielewska, Maria Sten: *Meksykańskie ABC*. Iskry. Warszawa 1977.
7. Maria Sten: *Dialog z Coatlicue*. Iskry. Warszawa 1963.
8. Maria Paradowska: *Wśród Indian i Metysów*. Ossolineum. Wrocław 1989.

Zestawił RB.

## List PSPI do Prezydenta Meksyku

My, członkowie Polskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Indian, wyrażamy nasze głębokie zaniepokojenie tym, co dzieje się w ostatnio w stanie Chlapas i Innych prowincjach Meksyku.

Zdajemy sobie sprawę z tego, że indiańskie powstanie w Chlapas jest następstwem nędzy, pogardy, poniżenia, wyzysku i ludobójstwa, którego doświadczają narody indiańskie ze strony posiadaczy ziemskich, grup paramilitarnych, kacyków, policji i skorumpowanych władz lokalnych - tolerowanych i popieranym przez rząd Meksyku, który Pan reprezentuje.

31 grudnia 1993 roku Indianie z Chlapas, uzbrojeni w drewniane karabiny, stanęli do walki w obronie swojej ziemi, wolności, godności i kultury. Nikt nie został zabity. A Pana rząd, zamiast próbować rozwiązać konflikt drogą pokojową i wypełnić postanowienia Konstytucji, wysłał przeciw nim wojsko, powodując wiele śmiertelnych ofiar.

Nazwano ich „terrorystami”, „przestępcami”, dobrze uzbrojonymi i wspieranymi przez siły obce. My, Polacy znamy dobrze tę frazeologię z własnego doświadczenia. Szuka się winy wszędzie, tylko nie u siebie. Czyni się tak, żeby usprawiedliwić swoją winę i mieć pretekst do użycia przemocy.

Pytamy:

- Czy jest przestępcą Indianin, jedyny legalny właściciel ziemi meksykańskiej, który walczy w obronie ziemi, wolności, godności i praw ludzkich?
- Jak może istnieć sprawiedliwość w Meksyku, kiedy 80% dochodu narodowego należy do około tysiąca rodzin związanych z rządzącą Partią Rewolucyjno-Institucjonalną, a połowa stanu Chlapas należy do kilku obszarników?

Żądamy:

- zaprzestania wyzysku i ludobójstwa narodów indiańskich;
- amnestii dla członków Armii Wyzwolenia Narodowego Im. Zapaty;
- uwolnienia wszystkich zatrzymanych i uwięzionych uczestników protestów indiańskich;
- uznania prawa Indian do ziemi, samostanowienia, własnej kultury i godnego życia;
- kontynuowania negocjacji dotyczących żądań społecznych i politycznych Indian.

Na początku XX wieku Meksykanin Emiliano Zapata walczył o „Ziemię i Wolność! ”Dzisiaj, pod koniec XX wieku Indianie w Meksyku walczą o to samo.

Oczekujemy na Pańską odpowiedź.

Z poważaniem,

w imieniu władz i członków PSPI - Roman Bala, Marek Nowocień

Indywidualne listy i zbiorowe petycje (po hiszpańsku lub angielsku) z wyrazami zaniepokojenia sytuacją Indian w prowincji Chiapas i całym Meksyku oraz poparciem dla ich żądań można wysyłać pod adres:

Carlos Salinas de Gortari, Prezydent; Presidencia de la Republica;  
Palacio Nacional; Colonia Centro; 06067 Mexico, DF; Meksyk  
tel. 525-515-0528, fax: 525-271-1764

## Emiliano Zapata (1879-1919)

Urodził się w Anenecuilco w stanie Morelos w średniozamożnej rodzinie chłopskiej. Był Metysem, średniego wzrostu o ciemnej skórze. Lubił się zabawić, zapalić i wypić. Był znawcą koni. W czasie Rewolucji Meksykańskiej 1910-1920 stworzył partyzancką armię chłopską i walczył z wojskami rządowymi. Walczył z kolejno następującymi po sobie prezydentami: Porfirio Diazem, Francisco Maderą, Victoriano Huertą i Venustiano Carranzą. Tereny działania jego armii obejmowały środkowy i południowy Meksyk, w tym też stan Chlapas. Współpracował z wojskami Pancho Villi, działającymi na północy. Odnosił sukcesy i porażki. Kilkakrotnie zajmował miasto Meksyk.

W 1911 roku ogłosił swój słynny Plan z Ayala, zakładający zwrot chłopom zagrabionej ziemi, konfiskatę i podział jednej trzeciej powierzchni latyfundiów. Plan ten czynnie wprowadzał w życie. Zajmował hacjendy, rozstrzeliwał latyfundystów i rozdawał ziemię. Uwielbiany przez biednych i nienawidzony przez bogaczy. Nadano mu przydomki *Wódz Południa*, *Promień Południa*, *Apostoł Meksykańskiego Agraryzmu*. Jego armię zwano „armią bosych”. Wielokrotnie próbowano go przekupić, m.in. Madero ofiarowywał mu hacjendę i podróż do Europy. Nie zyskał żadnych korzyści materialnych. Był człowiekiem bez ambicji politycznych. Jego hasłem było „Ziemia i Wolność”. Przedstawiciel prezydenta USA, William Gates pisał: *prawdziwa rewolucja społeczna dokonana się tylko w rejonach zajętych przez zapatystów*. Niewątpliwie był najjaśniejszą postacią rewolucji. Jego imię jest czczone do dziś. Za rządów Venustiano Carranzę przyszedł czas zdecydowanej rozprawy z partyzantami. Zapata schronił się w górach. W 1919 roku padł ofiarą podstępny pułkownika armii rządowej, Jesusa Guajardo i zginął od kuli. Zapatyści walczyli jeszcze przez rok aż do otrzymania od rządu gwarancji potwierdzającej ich prawo własności do rozparcelowanych ziem.

RB

## Daria Friedrich

### KTO JEST METYSEM W AMERYCE ŁACIŃSKIEJ?

„Ameryka Metyaska jest rzeczywistością,  
którą należy po prostu uznać  
i z którą trzeba się liczyć”.

(parafraza słów Ruggiero Romano, w oryginale  
mowa o Ameryce Łacińskiej)

Pomijając spory toczone się ciągle wśród naukowców, a dotyczące kwestii, czy to rzeczywiście Krzysztof Kolumb pierwszy odkrył Amerykę, jedno jest pewne, że dopiero jego wyprawa i następne, które zapoczątkował, zmieniły w sposób radykalny życie tubylców amerykańskich. Przyjmując nawet hipotezy o wcześniejszych odkrywca Nowego Świata, dopiero wiek XV i XVI przyniósł tubylcom, zwanym od tego czasu Indianami, zetknięcie z tak ogromną liczbą ludzi o odmiennej kulturze i dodatkowo, o tak ekspansywnym nastawieniu. Wtedy to Indianie stali się świadkami zaistnienia na ich ojczyźnie ziemii tzw. „ludów przeszczeplonych” - początkowo Europejczyków, później Afrykańczyków - a następnie tworzenia się „ludów nowych”, a więc powstałych z zespolenia tych wszystkich grup etnicznych. Potomków różnych ras nazwano Metykami (łac. *misticus* - mieszaniec). Później popularniejsze stało się jednak utożsamienie Metyków tylko z potomkami Indian i białych, tworząc inne nazwy dla pozostałych, jak na przykład Mulaci, Zambos (Cafusas), Jucuras itd. Niektórzy naukowcy za Metyków uważają tylko potomków Hiszpanów lub Kreolów (potomkowie Hiszpanów urodzeni w Ameryce, którzy nigdy nie mieszały się z innymi rasami) i Indian, tym samym wykluczając istnienie Metyków w Ameryce kolonizowanej przez Anglików. Inni jeszcze wyodrębniają Euro- i Afrometyków. Wszystko to jest tylko kwestią nazwy i przyjętych kryteriów, które w tym przypadku oparte są na ocenie biologiczno-antropologicznej i przy-

należności narodowej. Od poglądu naukowców bardziej interesujące wydaje się jednak określenie, kto jest Metysem dla samych mieszkańców Ameryki Łacińskiej. Warto się także przyjrzeć historycznej ewolucji znaczenia tej nazwy.

W czasach konkwisty i późniejszych, Hiszpanie i Kreole stanowili grupę bardzo elitarną. W ich interesie leżało stworzenie mitu rasowego (który pokutuje do dzisiaj). Wśród Metysów wyróżniali oni nawet ulamkowane domieszki „krwi” białej lub indiańskiej (np. 1/8, 1/16). Było to możliwe ze względu na małą jeszcze wówczas liczbę pokoleń. Obecnie, po pięćset latach obecności białych w Ameryce ustalenie koloru skóry przodka i jego narodowości nie zawsze jest możliwe, przez co kryterium cech somatycznych stało się nieużyteczne.

Sporządzane w pierwszej połowie XX wieku w wielu krajach Ameryki Łacińskiej spisy ludności ukazały nowe znaczenie terminu Metys i wprowadziły nowe kryteria, na przykład w 1946 roku Instytut Spraw Tubylczych Gwatemali w celu przekonania się, jakie kryteria są najczęściej używane dla przypisywania danej osoby do grupy Indian, Metysów, białych itd. przeprowadził badania wśród tysiąca pięćset właścicieli ziemskich. Wykazały one, że częściej przyjmowano kryterium „języka” i „obyczajów” niż „rasy”. Wprawdzie podczas spisu z roku 1940 w Peru klasyfikowano ludność oprócz „języka” jeszcze według „rasy”, ale decyzja w tej kwestii zostawiona była zainteresowanym (tym samym kryterium „rasa” przemienione zostało w „poczucie przynależności etnicznej”). Od tego czasu coraz rzadziej zdarza się, aby któryś z rządów Ameryki Łacińskiej opierał definicję Indianina, Metysa czy białego na jego cechach somatycznych, a używany termin „rasa” tracił swe pierwotne znaczenie, nabierając sensu kulturowego bądź społeczno-gospodarczego. Podczas tego spisu ujawnił się ważny problem Ameryki Łacińskiej - brak tożsamości. Okazało się, że wiele osób nie potrafiło powiedzieć, do której z tych grup czują się przynależni, tak że w 87 przypadkach na 100 przeważała opinia komisarzy

spisowych, którzy dodatkowo otrzymali instrukcję, aby klasyfikować jako Metysów wszystkich, którzy nie mieli określonej „rasy”. Spis ten był częściowo świadectwem ciągle jeszcze istniejącego kolonialnego przesądu rasowego, głoszącego niższość Indian oraz uwidocznił tzw. metyski dualizm duchowy, czyli poczucie zawieszenia między dwoma światami, dwiema kulturami. Simon Billvar w 1819 roku mówił: „Nie jesteśmy Europejczykami, nie jesteśmy Indianami, ale nie jako czymś pośrednim między krajowcami a Hiszpanami”, zaś Fernando Gonzalez w półtora stulecia później (1956): „W rzeczywistości ta mieszanina jest dobra, ale w naszym sumieniu mamy poczucie, że zgrzeszyliśmy. Żyjemy, pracujemy i odczuwamy kompleks nieprawego pochodzenia”. Wpajane przez kilkadziesiąt lat przesady rasowe doprowadziły w Ameryce Południowej do częstych przypadków ukrywania swojego indiańskiego pochodzenia. Co ciekawe, inaczej jest w Mezoameryce, gdzie świadomość metyska jest bardzo silna.

Podsumowując, pierwotne określenie Metysa opierało się tylko na podstawie biologicznej, czyli przemieszaniu krwi. Dopiero później wprowadzono termin akulturacji, czyli przekazywania elementów kulturowych (tzw. kulturowy metysaż), co Metysem czyni kogoś, u kogo stwierdzić można „przemieszanie” nie „krwi”, a kultury. Jak to wygląda w praktyce? Przede wszystkim można stwierdzić, że znaczenie terminu „Metys” zmienia się w poszczególnych regionach kontynentu. W Ameryce Środkowej Metysa nazywa się *ladino*, gdy tymczasem w innych rejonach *ladino* to Indianin posługujący się językiem hiszpańskim. W Gwatemali *ladino* mówi się popularnie o Indianinie, który zna język hiszpański i przejął zachodni styl ubierania. Często wystarczy sam strój, nawet jeśli *ladino* posługuje się dialektem tubylczym, a hiszpańskiego używa tylko w kontaktach z białymi. Dla innych *ladino* to Indianin żyjący w mieście i pracujący jak rzemieślnik. W niektórych regionach Chile Metys hispanojęzyczny, będący posiadaczem nieruchomości i mający inne cechy

„hiszpańskie” traktowany jest jak biały, w przeciwieństwie do Metysa, który preferuje tubylczy język i obyczaje, gdyż ten staje się Indianinem. Ogólnie mówiąc w Ameryce Łacińskiej Indianin, który zaczyna się posługiwać językiem hiszpańskim i przejmuje elementy kultury zachodniej, przez ogół zaczyna być uważany za Metysa. Najlepszym przykładem są peruwiańscy Indianie osiedlający się na przedmieściach Limy, tworząc tam ogromny lumpenproletariat. Wraz z utratą swej tradycyjnej odzieży, tracą również miano „Indianina”, odtąd nazywa się ich *cholos*. *Cholo* to właśnie zhispanizowany Indianin, ale także Metys, w którego kulturze przeważają elementy indiańskie. Dla antropologów zaś *cholo* to potomek Indian i Metysów.

Obecnie pojęcia rasowe i pojęcia z zakresu stratyfikacji (uwarstwienia) społecznej uległy utózsamieniu, na przykład w Brazylii termin *caboclo* używany jest zarówno w sensie rasowym (Metys), jak i jest określeniem biednego chłopca z północnej części kraju. Proces ten jest z jednej strony zanikaniem uprzedzeń rasowych, ale z drugiej - prowadzi do budowania dystansu między poszczególnymi grupami. Owocem tego jest opisujący już fakt nadawania w różnych częściach kontynentu różnego sensu określeniom rasowym.

W drabinie społecznej Ameryki Łacińskiej ujawnia się przyporządkowanie rasy do określonej grupy:

- niższa warstwa społeczna: biedni - Indianie;
- średnia warstwa społeczna: średnio-zaamożni - Metysi;
- wyższa warstwa społeczna: bogaci - biali.

Powyższy schemat stratyfikacyjny sięga pięćset lat, z tą różnicą, że dawniej większą uwagę zwracano na „rasę”, obecnie - na stan majątkowy. Majątek potrafił „zmieniać” kolor skóry. I tak, bogaty Indianin staje się Metysem, bogaty Metys - białym. Podobnie jak w brazylijskiej anegdocie: Niedawno przybyły do Brazylii cudzoziemiec pyta na przyjęciu swego sąsiada, Brazylijczyka. - Kim jest tamten Murzyn? - To nie Murzyn, to generał!

To bardzo pesymistyczne. Z jednej strony pozwala bowiem na przekroczenie granic grupy etnicznej, danej w momencie urodzenia (co dawniej nie było możliwe), z drugiej zaś - koszty tego są ogromne. Przede wszystkim prowadził to do utraty tożsamości przez wyrzeczenie się „korzeni” - materialnej i niematerialnej kultury przodków. Do tego dochodzi jeszcze wstyd, często ukrywany, zarówno wobec grupy „porzucanej” - zdrada, jak i grupy „przyjmowanej” - zakorzenione poczucie nierówności.

Reasumując, można stwierdzić, że mimo licznych zmian nic nie zapowiada końca przesądu rasowego, istniejącego w Ameryce Łacińskiej od ponad pięćset lat.

Daria Friedrich

## Bibliografia

- *Ameryka Indiańska?* Praca zbiorowa pod red. R. Romano. Warszawa 1971. Zwłaszcza rozdziały: Alfonso Caso: *Definicja Indianina i indiańskość* - referat wygłoszony na II Ogólnoamerykańskim Kongresie Indianistycznym. *Indianie: kryteria wyróżnienia, demografia, rozmieszczenie przestrzenne. Kto jest tubylcem? Dane demograficzne i geograficzne* - opracowanie zbiorowe Międzynarodowego Biura Pracy.
- Michał Chmara: „*Ludy świadkowe*”, „*ludy nowe*” i „*ludy przeszczepione*”. W: Ameryka Łacińska. Warszawa 1980.
- *Geografia regionalna Ameryki Łacińskiej*. Warszawa 1985.
- *Mały słownik antropologiczny*. Warszawa 1976.
- Edmund Stephen Urbański: *Hispanoameryka i jej cywilizacje*. Warszawa 1981.



### Republikanie przeciw tubylcom Alaski

W ostatnich dniach prezydentury Geor- ga Busha niezależność i suwerenność In- diańskich plemion w USA została znacząco podważona. 12 stycznia 1993 roku radca prawny departamentu spraw wewnętrz- nych wydał opinię mówiącą, że według prawa federalnego tubylcze wioski na Ala- sce „nie kwalifikują się jako kraj Indian” i dlatego nie przysługują im suwerenne prawa od dawna należne Indianom zgod- nie z federalnymi przepisami w USA. Zda- niem departamentu prawa te zostały „ostate- cznie wyeliminowane” poprzez uchwalenie w 1971 r. tzw. ustawy o rozstrzygnięciu roz- szeń tubylców Alaski, przyjętej pomimo pro- testów większości zamieszkujących ten stan Indian, Inuitów i Aleutów.

### Mt. Graham: Teleskopy w krainie duchów

Mimo protestów tradycyjnych Apaczów, wielu grup poparcia Indian oraz organiza- cji ekologicznych w USA i na świecie, nadal trwa budowa kompleksu astronomicznego na świętej górze Apaczów Mount Graham w Arizonie. Na skutek nasilających się pro- testów i wątpliwości co do prawnej, nauko- wej i moralnej słuszności inwestycji, w za- planowanym jeszcze na wiele lat projekcie uczestniczą już tylko Uniwersytet Arizony, Watykan oraz Instytut Maxa Plancka z RFN (pozostali wycofali się). Prace posuwają się powoli, ponieważ walcząca o wstrzymanie budowy Koalicja Przetrwania Apaczów nie ustaje w staraniach o udowodnienie swych racji w sądach, instytucjach państwowych i przed opinią publiczną. Przeciwno naru- szającej tradycje wstąpienia Indian oraz zagrażającej unikalnemu ekosystemowi Góry Graham budowie po raz kolejny wy- powiedziała się rada plemienna Apaczów San Carlos, odrzucając zaproszenie Uni- wersytetu do udziału w uroczystości odda- nia pierwszego teleskopu.

### Nagroda dla tradycyjnych Szoszonek

9 grudnia 1993 roku król Szwecji Karol Gustaw wręczył uroczyste pięć nagród „Right Livelihood Award” - zwanych Alternatywnymi Nagrodami Nobla - pięciu ko- bietom i organizacjom kobiecym zasłużo- nym w dziedzinie szeroko pojętej walki o prawa człowieka i ochronę środowiska. Wśród uhonorowanych tą, ufundowaną w 1980 r. przez szwedzkiego milionera Ja- koba von Uexkulla, prestiżową nagrodą znalazły się m.in. dwie Indianki z Newady, siostry Mary i Cary Dann. W ten sposób starania siostr Dann i całego ludu Zachod- ních Szoszonek o prawo do zachowania tradycyjnych ziem i kultury zostały po raz kolejny dostrzeżone i docenione przez spo- łeczność międzynarodową. Bojowniczkii Szoszonek zyskały zaś rzadką możliwość przedstawienia publicznie krzywd i nie- sprawiedliwości doświadczanych ze strony władz USA, które nie respektują swoich traktatowych zobowiązań.

### Pine Ridge - najbardziej niebezpieczne miejsce w USA

Według spisu powszechnego przeprowa- dzonego w USA w 1990 roku niewiele zmieniło się pod względem poziomu życia w rezerwacie Pine Ridge przez dziesięć lat, które upłynęły od poprzedniego spisu. Wciąż należy on do najbardziej niebezpiecz- nych rejonów w USA, zaś stanowiący część rezerwa- tu Szuksów okręg Shannon, w którym 63.1 procent ludności żyje poniżej poziomu ubóstwa, zajmuje pierwsze miejsce na li- ście najbardziej niebezpiecznych okręgów w kraju. Siód- me miejsce na tej liście zajmuje okręg Ziebach wchodzący w skład rezerwatu Che- yenne River Sioux (51.1 procent ubogich), zaś dziesiąte - okręg Todd w rezerwacie Rosebud, gdzie połowa ludności żyje poni- żej poziomu ubóstwa.

CIEN

# ZIELONE BRYGADY

## PISMO EKOLOGÓW

Wydział Chemii UJ, Ingardena 3/100  
30-060 Kraków, ☎ 12/336377 w. 234,  
fax 12/340515, 226306, 216460,  
tlx 0322297 UJ PL,  
E-mail: NKCH@TRURL.CH.UJ.EDU.PL,  
Konto: FWIE - „Zielone Brygady”,  
nr 630106-105428-132  
BOS SA O/Kraków

Co miesiąc informacje nie tylko z zakre- su ekologii, ochrony środowiska i przyrody ale także: wegetarianizm, feminizm, anty- militaryzm, anarchizm i New Age.

**Zielone Brygady** ukazują się co miesiąc po polsku i co kwartał po angielsku (jako **Green Brigades, Ecologists Paper**).

Cena wydania polskiego wynosi 10.000 zł (w prenumeracie krajowej dla osób prywat- nych 8.000, a dla instytucji 16.000), a an- gielskiego 20.000 (40.000 dla instytucji).

Istnieje też możliwość zakupu starych numerów na dysku.

Pieniądże należy wpłacać na konto z do- kładnym zaznaczeniem na odwrocie prze- kazu czego wpłata dotyczy (w przeciwnym razie traktujemy wpłatę jako dotację).

Na listy bez zaadresowanej koperty zwrotnej z naklejonym znaczkiem nie od- powiedamy.

Prenumeratę można zacząć w dowol- nym momencie (od bieżącego numeru).

Sprzedaję KASETY z filmem *Szary Orzeł* (w roli głównej Iron Eyes Cody) za zaliczeniem pocztowym. Cena 140.000 zł plus koszty wysyłki.

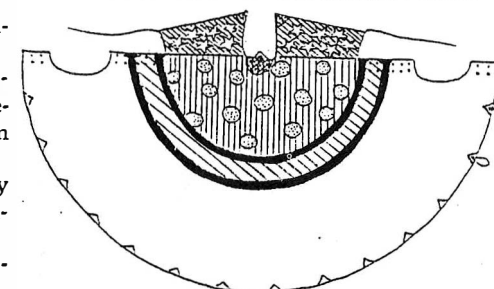
MIROSLAW MALARCZYK  
UL. GÓRCZEWSKA 92/65  
01-117 WARSZAWA

JUŻ WKRÓTCE!  
Komplet pocztówek  
z sylwetkami słynnych Indian.  
Blizsze informacje:  
TIPI, UL. ŁĄKOWA 3,  
64-050 WIELICHOWO



kształt, wielkość, rodzaj materiału ko- lor oraz cena do uzgodnienia wszelkie infor- macje pod adresem:

MAREK DŁUGOSZ  
ul. RYBACKA 6/1 \* 75-228 KOSZALIN



Sprzedam tipi z impregnowanego płótna żaglowego. Wysokość boku 4,85 m. Brzegi wzmocnione sznurkiem, otwory obszyte skórą, komplet kołków i patyczków, wej- ście okrągłe, drzwi prostokątne plus wo- rek. Mało używane (3 razy rozbite). Cena umowna: 6.000.000 zł.

JAN RZATKOWSKI  
UL. SŁOWACKIEGO 2/5  
82-400 SZTUM

# ZNANI I NIEZNANI

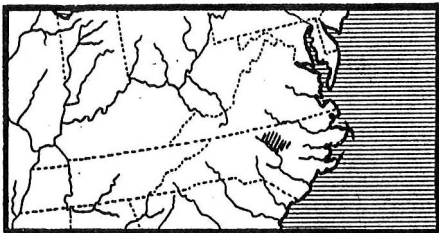
W Ameryce Północnej żyli nie tylko Słuksowie, Apacze czy Szawanezi, ale także wiele innych plemion, o których właściwie nic nie wiemy. Często nawet nie wiemy, że w ogóle istniały. Czy ktoś na przykład słyszał o takich plemionach jak Yazoo, Tutelo, Eno czy Coree? Wielu czytelników pisze do nas z prośbą o informacje na temat jakiegoś małego plemienia, którego nazwę podano gdzieś w książce. Rozpoczynamy więc publikację cyklu ZNANI I NIEZNANI, w którym prezentować będziemy krótkie charakterystyki plemion najmniej znanych. Czekamy na propozycje plemion (niestety tylko Ameryki Północnej), o których nic nie wiadomo, ale uważa: pierwszeństwo mają te, na które wpłynęły najwięcej głosów.

## ENO

Znaczenie nazwy nieznanne. Jeden z badaczy tego plemienia, Frank G. Speck twierdzi, że *t'nare* oznacza „nie lubiany, podły, zasługujący na pogardę”, a *yen'nare* - „ludzie niegodni uwagi”. Zvani także: **Haynokes** - przez gubernatora stanu Wirginia, Yardleya w 1654 roku.

**Język:** ENO prawdopodobnie należą do **sjańskich** rodziny językowej, chociaż przeprowadzone przez znawcę tego tematu, Jamesa Mooneya badania niektórych cech tego plemienia nasuwają pewne wątpliwości. Ich bliskimi krewnymi są Shakori.

**Rozmieszczenie:** Mieszkali nad rzeką Eno, na terenach dzisiejszych okręgów Orange i Durham w Wirginii Zachodniej.



**Wioski:** Znana jest tylko jedna wioska **Adshusheer**, gdzie mieszkali razem z Shakori. Mooney ulokował ją blisko dzisiejszego Hillsboro. Miejscowość o tej nazwie wspominał już w 1701 roku badacz tych terenów, John Lawson.

**Historia:** Po raz pierwszy wspomnieli o nich Yardley, gubernator stanu Wirginia. ENO stawili mężny opór Hiszpanom, którzy wtedy parli na północ. Wynika z tego, że mogli wtedy żyć nad rzeką Enoree w Pd. Karolinie. Podróżnik John Lederer wspomina o nich już w 1671, a Lawson w 1701; wraz z Shakori znajdowali się w osiedlu **Adshusheer**: Około 1714 razem z Shakori, Tutelo, Saponi, Occaneechi i Keyauwe zaczęli powoli przemieszczać się w pobliże osiedli w Wirginii. W 1716 ówczesny gubernator tego stanu, Spotswood zaproponował ENO, Cheraw i Keyauwe osiedlenie się w mieście Eno „na samym skraju” Pn. Karoliny. Projekt ten został jednak odrzucony przez Pn. Karolinę, gdyż plemiona te znajdowały się akurat w stanie wojny z Pd. Karoliną. Ze źródeł nie wynika dokładnie, czy miast ENO było ich starym osiedlem, czy też nowym. Na skutek upadku tego planu ENO przeszli do Pd. Karoliny. Przypuszczalnie zjednoczyli się z Catawba, wśród których (według Jamesa Adaira, który zajmował się historią tych Indian) jeszcze w 1743 roku posługiwano się dialektem Eno.

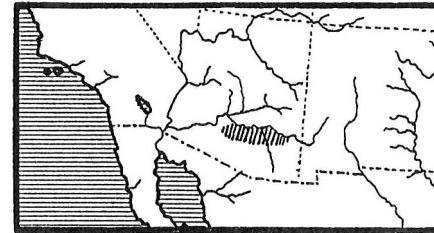
**Liczebność:** James Mooney szacował ogólną liczbę ENO, Shakori i wioski **Adshusheer** na tysiąc pięćset osób w 1600 roku. W 1714 łączna liczba ENO, Shakori, Tutelo, Saponi, Occaneechi i Keyauwe wynosiła siedemset pięćdziesiąt osób. Innych zapisów liczebności brak.

## SOBAIPURI

Znaczenie nazwy niewiadome. Zvani także: **Rsarsavina** przez Indian Pima, co znaczy „cętkowani”.

**Język:** SOBAIPURI są blisko związani z Papago, jeśli nawet nie są ich częścią. Należą do **pimańskiego** odłamu **utoazteckiej** grupy językowej.

**Rozmieszczenie:** Głównie przy ujściach do rzek San Pedro i Santa Cruz, także pomiędzy ujściem San Pedro a ruinami Casa Grande i prawdopodobnie na wschód tego terytorium w południowej części Arizony.



## Wioski:

**Alamos**, nad rzeką Santa Cruz, pd. Arizona.

**Aribaiba**, nad San Pedro, niedaleko jej ujścia do rzeki Gila.

**Baicadeat**, nad San Pedro, Arizona.

**Causac**, nad San Pedro.

**Comarsuta**, nad San Pedro, pomiędzy jej ujściem a uchodzącym do niej strumieniem Arivaipa.

**Guevavi**, na zach. brzegu Santa Cruz, nad Tubac, blisko dzisiejszego Nogales.

**Jiaspi**, na zach. brzegu San Pedro, prawdopodobnie blisko dzisiejszego Prospect, Arizona.

**Juamalturgo**, lub Pima, w Arizonie, południowa część ruin Casa Grande.

**Muiva**, nad San Pedro, prawdopodobnie blisko ujścia strumienia Arivaipa.

**Ojio**, na wsch. brzegu San Pedro, blisko jej ujścia do rzeki Gila i niedaleko dzisiejszego Dudleyville, Arizona.

**Quiburi**, na zach. brzegu San Pedro, prawdopodobnie niedaleko dzisiejszego Bonson, Arizona.

**Quiquibovica**, nad Santa Cruz, niecałe 30 km na południe od Guevavi, blisko granicy Arizony z Sonorą.

**San Angelo**, blisko zach. brzegu Santa Cruz, blisko ujścia w pd. Arizonie.

**San Felipe**, przy ujściu Santa Cruz do rzeki Gila.

**San Salvador**, nad San Pedro, powyżej Quiburi, pd. Arizona.

**San Xavier del Bac**, nad Santa Cruz, 15 km na południe od Tucson w pn. narożniku dzisiejszego rezerwatu Papago.

**Sonoita**, nad Santa Cruz, na północ od dzisiejszego Nogales i niecałe 34 km na północny wschód od Guevavi.

**Suamca**, nad Santa Cruz, w pobliżu Terrenate, Sonora, Meksyk, poniżej granicy Arizony z Sonorą.

**Tusonimon**, około 6 km na zach. od ruin Casa Grande, blisko rzeki Gila.

**Tutoide**, nad San Pedro, pomiędzy strumieniem Aravaipa a rzeką Gila.

Wioski, które przypuszczalnie należały jeszcze do SOBAIPURI: **Babisi**, **Busac**, **Camani**, **Esqugbaag**, **Optuabo**, **Reyes**, **San Clemente**, **Santa Eulalia**, **Tubo**, **Tumacacori** i **Turisai**.

**Historia:** W latach 1694-1702 wśród SOBAIPURI założone zostały misje, przebywał u nich wtedy Eusebiusz Kino. W późniejszym okresie zostali rozbici przez Apaczów i musieli szukać schronienia wśród Indian Papago, z którymi się później zjednoczyli.

**Liczebność:** James Mooney oszacował ich liczbę na 600 osób w 1680. Obecnie jako odrębne plemię nie istnieją.

Oprac. Niedźwiedź

## PANCERZYKI NA SZYJĘ

Jedną z wielu ozdób, używanych zarówno przez mężczyzn, jak i kobiety jest pancerzyk na szyję. Dawniej stosowany był prawie wyłącznie przez Indian Równin, ale czasami można go było spotkać w sąsiednich rejonach. Dzisiaj ten rodzaj ozdoby znany jest prawie na całym świecie. Szeroko rozpowszechnił się wśród muzyków rockowych.

Obecnie wytwarzane są z plastikowych rurek, dawniej - zanim jeszcze Indianie spotkali się z białymi handlarzami - wykonywano je z kości ptaków lub muszelek dentalium, które można było znaleźć na brzegach rzek. Biali szybko wyczuli interes w zapotrzebowaniu na tego typu rurki i w miastach powstały nawet maszyny do ich produkcji. Na specjalnych tokarkach obrabiano bizonie kości, a biali handlarze sprzedawali je Indianom. Dopiero później zaczęto je wytwarzać z plastiku.

Chcąc wykonać dla siebie taką ozdobę, potrzebne nam będą kości ze skrzydeł kurczaka. Kupujemy w sklepie dwa kilogramy skrzydełek i nie dość, że mamy komplet kości, to jeszcze wielką ucztę. Świetnie nadają się też patyczki drewniane, gdyż niektóre gatunki drzew mają miękką rdzeń, który można wypchać lub wypalić drutem, a niektóre są nawet puste.

Jeśli chcemy zrobić pancerzyk z kości, musimy najpierw je dokładnie oczyścić z wierzchu i w środku, przyciąć na odpowiedni wymiar (ok. 4 cm długości), wysuszyć na słońcu lub zamoczyć na chwilę w perhydrolu, aby pozbyć się resztek mięsa (można dać mrówkom do objedzenia). Na koniec, choć nie jest to konieczne, można je pomalować bezbarwnym lakierem.

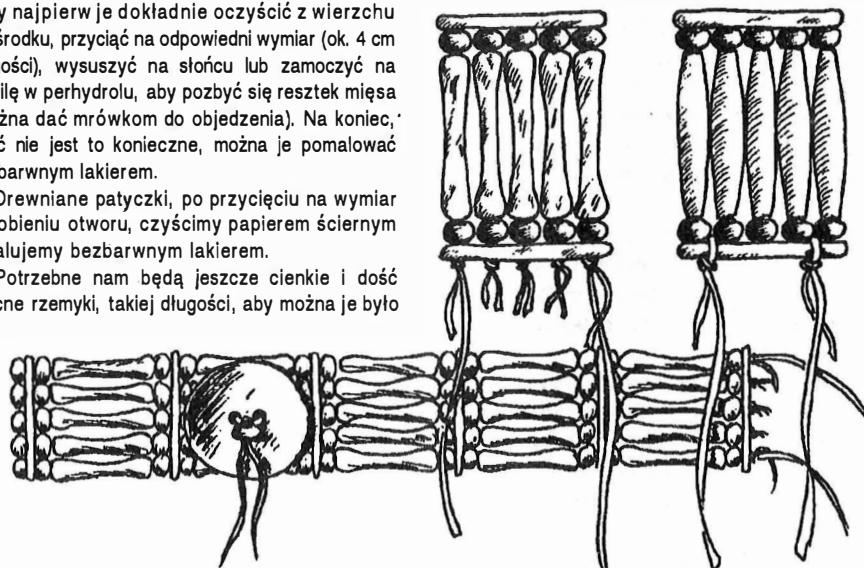
Drewniane patyczki, po przycięciu na wymiar i zrobieniu otworu, czyścimy papierem ściernym i malujemy bezbarwnym lakierem.

Potrzebne nam będą jeszcze cienkie i dość mocne rzemyki, takiej długości, aby można je było

swobodnie zawiązać wokół szyi lub grube, bardzo mocne nici. Duże szklane koralliki w jednym kolorze (70 sztuk). Ośmiu grubych (ok. 3-5 mm) pasków ze skóry długości równej szerokości pięciu swobodnie ułożonych obok siebie kości lub patyczków. W każdym pasku robimy po pięć równo oddalonych od siebie otworów.

Teraz możemy zabrać się do pracy. Na pierwszym rzemyku robimy supełek, mniej więcej 10 cm od brzegu. Na dłuższy koniec nakładamy po kolei: pasek grubej skóry, przekładając rzemień przez pierwszy otwór, koralik, kość lub patyczek, znowu koralik i znów pasek skóry. Powtarzamy tę czynność siedem razy. Po założeniu ósmego paska skóry delikatnie naciągamy i robimy supełek i w ten sposób jeden rząd mamy już gotowy. Powtarzamy tę czynność pięć razy. Oczywiście, jeśli ktoś chce, można zrobić więcej rzędów. Potrzeba wtedy więcej kości, korallików i dłuższe paski skóry. Przy zastosowaniu mocnej nici, tuż po ukończeniu pierwszego rzędu możemy od razu zacząć drugi. Jest to jednak o tyle niebezpieczne, że przy zerwaniu rozpada się nam od razu cały pancerzyk. Do pancerzyka z nitką przy mocujemy rzemyki do wiązania i to wszystko.

Miś



## INDIAŃSKA KUCHNIA

*Sassemanesh* to indiańska nazwa żurawiny błotnej. Ten rosnący na bagnach owoc służył jako barwnik, ale przede wszystkim jako lek. Indianie leczyli nim choroby pęcherza, a kolonści używali go do leczenia szkorbutu po długich wyprawach.

Każdego roku w październiku członkowie plemienia Wampanoagów świętują „dzień błotnej żurawiny”. Dzieci zbierają wtedy żurawinę i jedzą na surowo. Wszyscy gromadzą się aby wspólnie wysłuchać tradycyjnych opowieści.

### PRYSMAK ŻURAWINOWY

- 0.25 kg owoców żurawiny
- szklanka wody
- szklanka cukru
- 2 obrane i pokrojone jabłka
- 3 łyżki utartej pomarańczy
- szklanka pokrojonych orzechów

Żurawinę gotować w wodzie przez 10 min. Wszystkie składniki, oprócz orzechów, posiekać na drobno i gotować razem aż do zagęszczenia, ciągle mieszając. Zdjąć z ognia i dodać orzechy. Kiedy ostygnie ułożyć w trzy półlitrowe naczynia.

Kiedy do Krainy Wielkich Jezior przybyli kolonści, było tam jeszcze mnóstwo rozlicznego ptactwa: kuropatwy, przepiórki, cietrzewie, guszczki, pardwy, dzikie gęsi, indyki i bażanty. Z dzikich owoców, jadalnych kasztanów czy orzechów laskowych indiańskie kobiety przyrządzały najbardziej znane nadzienie.

Oto przepis na **NADZIE NIE DO BAŻANTA**, ale będzie ono również dobre do indyka jak i kurczaka.

- upiec, ostudzić i obrać z łupiny 1 kg kasztanów
- dodać 2 łyżki tartej bułki, 1 posiekaną cebulę, 1 seler, 1 łyżkę brandy i ucierać całość przez kilka minut
- wziąć dwa bażanty i natrzeć je w środku solą, pieprzem i rozmarynem, a następnie włożyć nadzienie

- piersi ptaków przykryć pokrojonym w paski boczkiem
- przez 15 minut piec w temperaturze 250°C, a potem przez 30-40 minut w temperaturze 180°C.
- podawać z ostrym sosem korzennym.

Dziki jabłko rosło w Ameryce Północnej jeszcze przed przybyciem Europejczyków, ale niezbyt nadawały się do jedzenia. Jabłonie przywędrowały z pierwszymi kolonistami, a w połowie XVIII wieku rosły już we wszystkich koloniach.

### BEKON Z JABŁEKAMI

- pół kilograma bekonu włożyć do rondla i podsmażyć na otwartym ogniu
- zesmażyć 2-3 kg pokrojonych drobno jabłek, a kiedy będą miękkie - wyłożyć nimi bekon
- jabłka posypać cukrem i cynamonem
- bekon podzielić na porcje i podawać na gorąco.

Równie dobrze można upiec bekon w piecyku domowym. Świetnym dodatkiem do tej potrawy może być szpinak i prażona kukurydza.

### Na zakończenie: CHLEB Z DYNI

- 0.5 szklanki oleju
- 1.5 szklanki cukru
- 2 jaja
- szklanka dyni konserwowanej
- 1.25 szklanki mąki
- 0.25 łyżeczki proszku do pieczenia
- 0.5 szklanki rodzynek
- 0.5 szklanki orzechów
- łyżeczka soli
- cynamon, przyprawa indyjska, goździki i gałka muszkatałowa do smaku.

Wymieszać cukier, olej, dynię i jaja z 0.3 szklanki wody. Inne sypkie składniki również wymieszać, dodać do masy i ucierać aż do uzyskania odpowiedniej konsystencji.

Masę wlać do wysmarowanej tłuszczem foremki i piec przez godzinę w temperaturze 200°C. Po upieczeniu zostawić do ostygnięcia. Można podawać z serem.

SMACZNEGO!!!

## IV Walne Zebranie PSPI

W dniach 15-17 kwietnia br. w Białymstoku odbyło się IV Walne Zebranie członków i sympatyków Polskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Indian. Podsumowaniem drugą kadencję działającego już od czterech lat PSPI, dyskutowano nad planami Stowarzyszenia na przyszłość i wybrano władze na kolejne dwa lata.

### ZARZĄD GŁÓWNY

**Przewodniczący:** Marek Długosz, ul. Rybacka 6/1, 75-228 Koszalin

**Z-ca Przewodniczącego d/s Zagranicznych:** Roman Bala, Iwanowice Duże 95, 42-152 Opatów Częstochowski

**Z-ca Przewodniczącego d/s Gospodarczych:** Konrad Konarzewski, ul. Rybacka 6/1, 75-228 Koszalin

**Sekretarz:** Marek Nowocień, ul. Głowackiego 1 B/18, 57-200 Ząbkowice Śląskie

**Skarbnik:** Jerzy Tolloczko, ul. Zielonogórska 14/26, 15-674 Białystok

**Członek - Rzecznik Prasowy:** Anna Tomala, ul. Magiera 5/22, 01-373 Warszawa

**Członek:** Marek Kabat, ul. Malachowskiego 14 A/6, 64-800 Chodzież

**Z-ca Członka:** Mirosław Bogusz, ul. Gródecka 19/2, 15-561 Białystok

### GŁÓWNA KOMISJA REWIZYJNA

**Przewodniczący:** Barbara Żukowska, D.S. Feniks, ul. Nowoursynowska 161, 02-766 Warszawa

**Z-ca Przewodniczącego:** Radosław Dellida, Os. Zachód B-4/B-8, 73-110 Stargard Szczeciński

**Sekretarz:** Edward Jaciów, ul. Kolejowa 23/1, 21-500 Biela Podlaska

### Adres korespondencyjny i konto PSPI

**PSPI, skrytka pocztowa 4,**

**15-472 Białystok 21**

**PBK I O/Białystok,**

**rachunek nr 370406-6376-132**

Od kwietnia br. ujednolicone składki członkowskie wynoszą 50.000 zł za kwartał i obejmują bezpłatny **Tawacin** i **Biuletyn Informacyjny PSPI**. Składki już opłacone z góry nie muszą być uzupełniane.

### Przyjaźń niekoniecznie rejestrowana czyli uwagi o wstępowaniu do PSPI

PSPI jest organizacją „Przyjaciół Indian”, a nie tylko ich „miłośników”. To dla nas duża różnica. Przyjaźń zobowiązuje, na przyjaciół można polegać, od przyjaciół można oczekiwać więcej. Także tego, że sami wiedzą, co znaczy „być przyjacielem”. By interesować się Indianami, lub zostać ich przyjacielem, nie trzeba się nigdzie zapisywać. I na pewno nie wystarczy wypełnienie jakiegokolwiek deklaracji.

Osoby, które mimo to chciałyby wstąpić do PSPI powinny skontaktować się z nami (najlepiej przedstawiając się listownie), a wtedy otrzymają Deklarację członkowską, Statut i listę adresów kontaktowych.

PSPI to „Stowarzyszenie Przyjaciół”. To dla nas coś więcej niż grupa jednostek o wspólnych celach. To zorganizowane środowisko ludzi, którzy ze sobą współpracują, którzy chcą i potrafią sobie pomagać - niekoniecznie w sprawach „indiańskich”. Do tego niezbędne jest wzajemne poznanie się i zaakceptowanie. A świadoma decyzja obu stron wymaga czasu.

Kandydat na członka PSPI powinien nawiązać kontakt - a z czasem możliwie ścisłą współpracę - z bliskimi mu regionalnie lub tematycznie członkami Stowarzyszenia i przynajmniej od jednego z nich - tzw. Opekuna - uzyskać poparcie na Deklaracji. Deklarację tę, wraz z uzasadnieniem swej decyzji, powinien oddać Zarządowi osobiście - lub przez Opekuna - na jednym ze spotkań Stowarzyszenia.

PSPI to „Polskie Stowarzyszenie”, ogólnokrajowa organizacja działająca w oparciu o przepisy prawa, swój Statut i wolę większości członków. Dlatego w jego działaniu niezbędna jest pewna „biurokracja” i rutyna - deklaracje i legitymacje, składki i rachunki, uchwały i sprawozdania.

Jeśli - zwykle po rozmowie z Kandydatem i/lub Opekunem - rozpatrzmy Deklarację pozytywnie, to przyjęcie do PSPI następuje z dniem wpłynięcia na konto pierwszej składki (min. 50.000 zł za kwartał). Decyzja negatywna - i zwrot Deklaracji - nie zamyka drogi do współpracy i dalszych starań o przyjęcie.

**Zarząd Główny PSPI**

## XVIII Złot Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian

Tegoroczny Złot PRPI odbędzie się w dniach 22-24 lipca w lasach nad rzeką Supraśl w okolicach Białegostoku (z możliwością dłuższego pobytu). Organizatorzy zapewniają tyczki do tipi osobom, które zgłoszą takie zapotrzebowanie przed Złotem. Uczestnicy Złotu powinni we własnym zakresie zadbać o wyżywienie, noclegi i sprzęt obozowy oraz przestrzegać ustaleń Rady Złotu i obozowej policji. Zapowiadany jest bogaty i atrakcyjny program Złotu, uwzględniający m.in. wiele zajęć dla młodych miłośników kultury Indian (ceremonie, pieśni, tańce, rzemiosło itp.). Koszt uczestnictwa w Złocie wynosi 100.000 zł. Dokładniejsze informacje można uzyskać pisząc pod adres:

**Mirosław Bogusz, Gródecka 19/2, 15-561 Białystok**

### AMERYKA INDIAŃSKA W GŁOGOWIE

500-lecie odkrycia Ameryki przez Krzysztofa Kolumba stało się okazją do spojrzenia na ów ważny w historii moment nieco inaczej. Dla jednych jest to data wyznaczająca nową epokę w dziejach ludzkości, zaś dla tubylczych mieszkańców kontynentu amerykańskiego - początek zagłady.

Wystawa **Ameryka Indiańska - Spotkanie Dwóch Światów** prezentowana obecnie w Muzeum Archeologiczno-Historycznym w Głogowie proponuje spojrzeć na rocznicę odkrycia Nowego Świata w kontekście konsekwencji, jakie poniosły społeczność tubylcze w pięć wieków po dotarciu tam Europejczyków.

Wystawa ta ma już długi rodowód. Powstała według oryginalnego scenariusza **Janusza Jaskulskiego** (nagroda indywidualna i stopnia Ministra Kultury i Sztuki za rok 1992) z poznańskiego Muzeum Instrumentów Muzycznych oddział Muzeum Narodowego, wystawiana była przez kilka letnich miesięcy 1992 w Muzeum Etnograficznym w Poznaniu. Składają się na nią

obiekty pochodzące z Muzeum Etnograficznego i Muzeum Instrumentów Muzycznych, oddziałów Muzeum Narodowego w Poznaniu, Muzeum Archeologicznego i Muzeum Przyrodniczego we Wrocławiu, Centralnego Muzeum Morskiego w Gdańsku, Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie i Muzeum Wiedzy O Środowisku PAN w Poznaniu oraz ze zbiorów prywatnych: Zbigniewa Skibniewskiego (Poznań), Leszka Michałika (Sztum), Janusza Jaskulskiego (Poznań) i Wiesława Karnabala (Dąbrowa, **Tawacin**). W 1993 roku fragmenty tej wystawy można było zobaczyć kolejno w Wschowie, Gdańsku i Wrocławiu. W lutym 1994 ekspozycję przewieziono do Głogowa, do Muzeum Archeologiczno-Historycznego. Autorami tej wystawy są: **Aleksander Dobrowolski** - komisarz wystawy z głogowskiego Muzeum Archeologiczno-Historycznego oraz dwoje pracowników Muzeum Narodowego w Poznaniu: **Janusz Jaskulski** (scenariusz) i **Klaudyna Jasiewicz** (aranżacja wystawy i oprawa plastyczna).

Kolejnym miastem, które przyjmie wystawę **Ameryka Indiańska** będzie Sierpc na Mazowszu, dokąd zbiory trafią we wrześniu. MM



## Życie w biegu

\* W czwartą rocznicę Świętego Biegu - Europa 1990 przyjaciele Indian z Europy Środkowej organizują wzorowany na tradycjach indiańskich Bieg Przyjaźni Narodów. Jego uczestnicy wyruszą 23 czerwca z Centrum Przyjaciół Indian w Koszalinie i przez 2 tygodnie bieć będą przez Polskę, Niemcy, Czechy i Słowację (zob. komunikat obok).

\* 47 biegaczy z USA, Alaski, Kanady, Japonii, Niemiec, Anglii, Francji, Australii i Aotearoa (Nowej Zelandii) uczestniczyło w Świętym Biegu - Australia/Aotearoa '93. W dniach od 15 września do 17 listopada przebyli oni 5000 mil w Australii i 1500 mil na północnej wyspie Aotearoa. Niosąc idee życia w harmonii z Ziemią i ludźmi m.in. do 43 społeczności australijskich Aborygenów i 15 zamieszkałych przez Maorysów osiedli „maraes”, uczestnicy Biegu prezentowali kulturę różnych narodów i poznawali tubylcze tradycje i obyczaje.

\* Przygotowania do planowanego na wrzesień i październik tegoroku Świętego Biegu - Afryka '94 zostały wstrzymane ze względu na kwietniowe wybory i napiętą sytuację polityczną w RPA. Decyzje w sprawie Biegu zapadną po powrocie z Afryki Pd. grupy przygotowawczej, ale z uwagi na niezwykle trudne i niebezpieczne warunki przyjęte zostaną zgłoszenia wyłącznie od doświadczonych biegaczy.

\* Przyszłoroczny Święty Bieg odbędzie się na liczącej 1200 mil trasie z Hokkaido do Hiroszimy, gdzie w przeddzień 50 rocznicy zrzucenia pierwszej bomby atomowej i zakończenia II wojny światowej biegacze z całego świata spotkają się z opływającymi japońskie wyspy wioślarzami z Okinawy.

\* W 1996 roku trasa Świętego Biegu prowadzić będzie z Los Angeles do Atlanty, dokąd uczestnicy biegu przybędą tuż przed Igrzyskami Olimpijskimi. Z kolei przed następną Olimpiadą w Sydney - według inicjatora, organizatora i kierownika wszystkich Świętych Biegów, Dennisa Banksa - ma się zakończyć Święty Bieg - Australia 2000.

Włócej Informacji na temat Świętych Biegów można uzyskać, pisząc do:

SACRED RUN FOUNDATION, INC.

P.O. BOX 315

NEWPORT, KY 41071 USA

## Bieg Przyjaźni Narodów

Krąg Roboczy INDIANIE DZISIAJ z Reichenbachu w Vogtlandzie (RFN) chciałby przedstawić propozycję polepszenia stosunków między narodami Europy. W czasie, gdy na świecie granice pomiędzy biednymi a bogatymi zaznaczają się coraz wyraźniej, stoimy bezsilni wobec wzrostu zawiści, rasizmu, wzajemnego poniżania się, a nawet eksterminacji narodów. Ludzie w biednych krajach świata chcą mieć udział w bogactwach pozyskiwanych w ich krajach, a ludzie z krajów bogatych czują się przez nich zagrożeni. Sytuacja ta, a także wzrost problemów społecznych, gospodarczych i ekologicznych, stanowi żywną glebę dla rasizmu, nienawiści narodowej i wojny. Często powstaje negatywny stosunek wobec ludzi innych narodów w wyniku całkowitej nieznamości ich mentalności i sytuacji życiowej. Do tego często dochodzi jeszcze szukanie kozła ofiarnego, odpowiedzialnego za własne niepowodzenia czy społeczne nieprzystosowanie. Powierzchnia ocena innych jest przyczyną powstawania obraźliwych słów, które to mogą stać się zastępczą ideologią. Jakże szybko potem rzucane są kamienie, a schroniska azylantów płoną? Tak często można zobaczyć takie obrazki w Niemczech i innych europejskich krajach. W rezultacie takiego rozwoju sytuacji nadejdzie milcząca zgoda na dalsze prowadzenie wojny w Bośni-Hercegowinie.

Sądźmy, że w tej sytuacji każda inicjatywa, która zbliża do siebie narody jest bardzo potrzebna. Brak pokoju między narodami i coraz bardziej zagrażająca nam wszystkim katastrofą ekologiczną wszystkie narody powinny uznać za wspólny problem. Z ideą europejskiej Jedności łączymy przede wszystkim wizję przyjaznego i równoprawnego współżycia narodów. Wydaje się nam więc za pożyteczne sięgnięcie po tradycyjne środki porozumiewania się narodów, czego przykładem może być choćby powstałe ruchu olimpijskiego, będącego dowodem na to, że narody mogą się do siebie zbliżyć. Takich tradycyjnych przy-

kładów można by przytoczyć wiele na przestrzeni całej historii ludzkości - aż do ludów pierwotnych. Wiele narodów traktowało i nadal traktuje gry sportowe jako okazję do pokojowego spotykania się i podtrzymywania swych dobrosąsiedzkich stosunków. W czasach zagrożeń wysyłano gońców z posłaniem do sąsiednich narodów, wysyłano także zaproszenia do wspólnych spotkań. W dzisiejszych czasach coraz częściej mają miejsce wspólne biegi jako wyraz potrzeby harmonii między narodami, jak również harmonii z całą naturą. Nasza organizacja zajmuje się przede wszystkim problemami ludów indiańskich i dlatego właśnie od nich, od Indian, pochodzi inicjatywa takich biegów. Wspomagaliśmy Święty Bieg - Europa 1990, który został zamknięty przez Dennisa Banksa, założyciela Ruchu Indian Amerykańskich (AIM). Rok później pomagaliśmy przy Świętym Biegu - Kanada. Potem był Bieg dla Wolności i Godności Człowieka z Grewswaldu do Berlina w 1992 roku. Jesienią tego samego roku dwunastu naszych biegaczy wzięło udział w Świętym Biegu - Wyspa Żółwia z Alaski do Arizony. Na podstawie tych doświadczeń, a także w obliczu wzrostu nienawiści i napaści wobec cudzoziemców w Niemczech, podjęliśmy inicjatywę Biegu Przyjaźni Narodów jako biegu na rzecz porozumienia między narodami. Celem biegu jest nawoływanie do pokojowego, pełnego wzajemnego szacunku współistnienia narodów Europy oraz zainspirowanie szacunku i umiarkowania wobec naturalnego środowiska. Wydaje się nam, że indiańska tradycja duchowego biegu jako osobistej ofiary i przestrogi dla innych jest ku temu wspaniałą okazją. Dlatego zaprosiliśmy na ten Bieg także indiańskich biegaczy. Spodziewamy się też biegaczy z Japonii, gdyż między Indianami i Japończykami istnieje długa tradycja biegów wywodząca się między innymi z faktu, że uran użyty do bomb zrzuconych na Hiroszimę i Nagasaki pochodził z ziemi Indian. To właśnie indiańskie grupy ze swymi biegaczami zanosły do Japonii przesłanie pojednania. Oczywiście, Euro-

pejczy się także są zaproszeni do wzięcia udziału w Biegu lub przynajmniej jego parcia.

Planowana jest następująca trasa: Bieg będzie prowadził przez cztery europejskie kraje. Znad polskiego wybrzeża Bałtyku koło Koszalina przez Piłę i Gorzów Wlkp. do Niemiec. W miejscu pamięci Seelower Höhen nastąpi chwila zadumy nad ofiarami wojny i prześladowań. Z Fürstenwalde przez Grimma trasa prowadzi do Buchenwaldu. Tam biegacze będą mogli nakreślić obraz następstwa dyktatury i władzy przemocy. Przez Triptis i Reichenbach Bieg prowadzi do Karlovyh Varów w Republice Czeskiej. Stamtąd przez Volary, Jindřuh, Hradec i Krepice do Trenčin na terenie Republiki Słowackiej. Bieg zakończy się w Białka koło Martin u stóp Niżnych Tatr. Termin Biegu ustalono na 23 czerwca - 5 lipca 1994 roku. Podczas Biegu w dni wypoczynku planowane są imprezy wymiaru kulturalnych. Trasa Biegu ma pokazać, że nadal chcemy podtrzymywać przyjacielskie stosunki z naszymi wschodnimi sąsiadami. Osoby zainteresowane poparciem Biegu lub wzięciem w nim udziału proszone są o kontakt z niemieckim koordynatorem:

AK Indianer heute e.v.  
c/o Bernd Damisch  
Mühlstr. 15  
D-8491 Netzschkau  
Tel/fax O-49-3765-34786

Koordinator na Polskę:

Polskie Stowarzyszenie  
Przyjaciół Indian  
c/o Jacek Gawroński  
ul. Dąbrowskiego 90/7  
64-920 Piła  
tel. 0-67-138077

Bernd Damisch  
rzecznik prasowy



## Po co to wszystko...

W numerze 4/93, w dziale korespondencji zamieściliście list Anny. Pisze ona o indiańskich złotach, robieniu strojów, „zabawie w Indian” i „całym tym egzotycznym lukrze” w dość ostrych słowach. Nie ona pierwsza zresztą pyta: „po co to wszystko?” Chciałbym odpowiedzieć na to pytanie, przedstawić swój punkt widzenia.

Otóż, wiele osób krytykuje „zabawę w Indian” twierdząc, że tak naprawdę nic się dla nich oprócz tego nie robi. Zastanówmy się więc, czy - a przede wszystkim, co możemy dla Indian zrobić? Zgodzimy się chyba wszyscy, że niemożliwe jest już wywiezienie wszystkich „obcych” z Ameryki i pozostawienie tam tylko rdzennej ludności. To czysta utopia, a wątpliwe, czy i sami Indianie chcieliby tego. Jest już po prostu za późno - zło się stało i nie można go już cofnąć. Cóż zatem możemy? Możemy je próbować naprawić - propagując „sprawę” Indian i walcząc o polepszenie ich sytuacji dzisiejszej. Spyta ktoś: co mogą ja, szary człowiek przeciw potężnym machinom państw i rządów? Otóż te maszyny to też my, ale o tym za chwilę.

Czy fakt, że lasy Amazonii wycina się nadal, mimo protestu Stinga i innych (nie ważne czy były one dyktowane modą, czy chęcią zdobycia darmowej reklamy) upoważnia nas do opuszczenia bezradnie rąk i zamknięcia ust? Mamy się poddać bez walki? Niech robią, co chcą i tak ich nie możemy powstrzymać? Toż to „czysty” Maruda ze Smurfów: *I tak się nie uda!* To, że nie dostrzegamy skutków naszych działań nie znaczy, że ich nie ma... Być może są niewidoczne, w duszach... Być może będą dostrzegalne kiedyś, za kilka pokoleń. A nawet jeśli nie, to zawsze będziemy mogli powiedzieć jak jeden z bohaterów *Lotu nad kukulczym gniazdem* (przy okazji pozdrowienia dla Wodza Szczoty): *do cholery, przynajmniej próbowałem!*

Tym, co jest najważniejsze - to **rozwój świadomości naszej i naszych bliźnich** (podkr. red.). I tu dochodzimy do tzw. „indiańskiego sposobu życia”. To, że latem ubieramy się w indiańskie stroje i wyruszamy „na szlak” lub złot, by zamieszkać w tipi i śpiewać indiańskie pieśni - nie jest niczym złym. Cóż z tego, że wraz z jesienią zamieniamy ten strój na skafander „bladych twarzy”, jeżeli gdzieś w głębi nas pozostaje ta sama niezmiennona, indiańska filozofia, wiara, radość życia i miłość do natury oraz wszystkiego, co nas otacza. Myślę, że to właśnie jest najważniejsze.

Nie znam nikogo, kto interesowałby się „wyłącznie pióropuszcami i wigwamami”, samych Indian mając gdzieś...

Wyszywanie koszul korallkami może pomóc cierpiącym, ale nie w taki sposób, w jaki chciałaby Anna - to byłoby zbyt proste...

Zgoda! Stroje w tym wszystkim znaczą najmniej, ale nadają naszemu działaniu barwę. Wiele osób zaczyna interesować się Indianami właśnie od tej egzotyki. Zainteresowanie filozofią czy problematyką dnia dzisiejszego przychodzi później - i nie u wszystkich. Jest to jak gdyby kolejny, wyższy stopień wtajemniczenia, który można osiągnąć jedynie wtedy, kiedy „dojrzeje” się na niższym poziomie.

Wszyscy chcielibyśmy jak najlepiej dla Indian - intencje Anny są bardzo szlachetne - musi ona jednak uzbroid się w cierpliwość, a przede wszystkim, sama walczyć o swoje ideały.

Jeżeli będziemy żyć „po indiańsku”, a co ważniejsze - przekażemy ten styl życia naszym dzieciom, a one z kolei swoim, możliwe, że za kilka pokoleń świat będzie wyglądał inaczej... Jednakże, by nawiązać na zakończenie do wiersza Anny (który zresztą bardzo mi się spodobał) - najtrudniej jest wygrać wojnę z samym sobą.

Pozdrawiam wszystkich Indian, także tych o „bladej skórze”.

Paweł Głogowski  
Nowy Dwór Mazowiecki

Chciałbym podzielić się kilkoma refleksjami na temat listu Anny, zamieszczonego w zmiowym numerze TAWACINU.

W wielu kwestiach ma niewątpliwie rację (np. pozerstwo będące *en vogue* - jak to pięknie określiła Anna), lecz trzeba mieć również na uwadze to, że chyba żaden z „przyjaciół” nie ma takiej siły przebiccia, jaką ma Sting - a i tak jego apele niewiele dały.

Ze swej strony będę w dalszym ciągu popierał wszelkie przejawy dobrej woli „przyjaciół” w tej kwestii, choć jestem sceptycznie nastawiony do efektów tych działań (obym się mylił).

Wracając jednak do tego „barwnego, egzotycznego lukru”, przytoczę tu zdanie Jerzego Waldorfa, które brzmi mniej więcej tak:

*Ratujmy Kulturę! Ratujmy zabytki, bo tylko ta społeczna ratowała nas [Polaków] przez wstępną od zagłady.*

Więc może to jest sposób? Chyba po części tak, choć najwięcej w tej sprawie mają do powiedzenia sami Indianie.

Na koniec całej redakcji chciałbym życzyć powodzenia w pracy nad gazetą, wiele z niej radości i jak najmniej problemów.

Mariusz

P.S. Wiersz Anny jest ciekawy i powiem tylko tyle - coś w tym jest... Ja również piszę i choć dotąd nikomu nie pokazywałem swojej poezji, to jednak zdecydowałem się przesłać jeden z wierszy. To swego rodzaju kompilacja wypowiedzi (w części) samych Indian, a dedykuję go im samym.

Urodziłem się na pograniczu  
Pograniczu dwóch wielkich okresów  
Stworzony przez Usena dla Ziemi  
A Ona stworzona dla mnie  
Żyję, czuję i śnię  
O polowaniu umarłych...  
Lecz ktoś zakłócił mi sen!  
Wtargnął w moje życie!  
Najpierw przyjrzał mi się  
Dotknął mojej twarzy  
Potem pchnął i powiedział:  
Mane, tekel, fares...  
Ile jeszcze czasu trzeba  
Abym mógł o tym zapomnieć?

## Bliżej nas...

Kulturą Indian pasjonuję się o dłużej niż czas. Kiedyś był to zachwyt skórzaną kurtką z frędzlami, naszyjnikiem z korallków i piórami wplecionymi we włosy.

Dziś to już coś więcej. Czytam, oglądam wszystko, co ma jakikolwiek z nimi związek. Przypadkiem w ręce „wpadła” mi gazeta. Wiem, że można prenumerować. Jak? A oprócz tego, jak mogę być „bliżej was”?

Anka, Łódź

## Gdyby jej jeszcze nie odkryto...

Jestem studentem I roku filologii polskiej UAM w Poznaniu. Właściwie gdyby nie studia, byłbym uboższy o wspaniały film o tematyce indiańskiej - *Czarna Suknia*, który niedawno wyświetlano w studenckim DKF-ie. Czy już napisałem, że był wspaniały? Był świetny. Im więcej czasu upłynęło od jego obejrzenia, tym bardziej mi się podoba. Może nie dlatego, że świetnie ukazuje Indian, czy tym podobne rzeczy. Raczej ze względów bardziej osobistych, przez to, że nasuwa mi refleksje na temat podboju Ameryki, na temat spotkania się kultury Europy z kulturą amerykańską.

Zastanawiam się na przykład, co by było gdybyśmy nie dotarli nigdy na ziemię indiańską, albo gdyby w momencie dotarcia tam, cywilizacja ich była starsza o jakieś tysiąc lat? Co byśmy wtedy zastali? Jak rozwinięliby się Indianie? Jak wyglądałoby duchowo (ideologicznie)? Jak bardzo odrębne kulturowo byłyby poszczególne plemiona? Czy wpływałyby wzajemnie na swój rozwój i w jakim stopniu? A może zostałyby podbite przez jakichś Inków czy innych Azteków, którzy stworzyliby wielkie imperium? Można sobie tak długo bając na ten temat. Dotyczy to zresztą też innych kultur świata, także Europy, ale przy obecnej fascynacji Indianami interesujące jest, czy zmieniłby się bardzo, czy nie, aby móc imponować nam, tak jak dziś?

Są też problemy ważniejsze, na przykład jak dalece, w przypadku nieuchronności takiego zetknięcia się dwóch kultur zupełnie od siebie odmiennych, jedna kultura może wpływać na drugą. Choćby problem ewangelizacji, jak w *Czarnej Sukni*. Czy możemy drugim narzucać swoje poglądy religijne czy inne? Czasem mi się wydaje, że w ogóle nie powinniśmy takich poglądów przekazywać. Szczególnie gdy myślę o chrześcijańskich misjonarzach w Ameryce, ale to już problem zamknięty, to już się stało, dziś ważniejsze jest to, co się dzieje z tą cywilizacją teraz, chociaż za czasy minione wciąż jest żal - to jednak zbyt mało powiedziane). Mimo tego jednak, wobec ewangelizacji przyjmuję raczej stanowisko Arkadiusza J. Kilanowskiego, które przedstawił w artykule „Spór o *Czarną Suknię*” (TAWACIN 3/93).

Moja edukacja indianistyczna dopiero się zaczyna. Naprawdę wiem bardzo niewiele. Wiele nazw plemion słyszę po raz pierwszy, znam właściwie tylko te, o których pisałeś i te, które ukazują się na kartach książek. Ostatnio nosiłem się z zamiarem zrobienia mapy Ameryki zamieszkałej przez Indian przed przybyciem Kolumba i dzisiaj, w rezerwach. Chciałbym się dowiedzieć, czy jesteście w posiadaniu informacji umożliwiających stworzenie takiej mapy. Może mógłbym je w jakiś sposób uzyskać - zrobić ksero, przepisać. Mogę się po nie zgłosić osobiście. Być może przynajmniej moglibyście mi wskazać źródła?

Robert, Jarocin

## Jak zginął Puckeshinwa?

TAWACIN czytam od bardzo niedawna, choć Indianami interesuję się już od dłuższego czasu. O waszym istnieniu dowiedziałem się dzięki zdefektowanemu egzemplarzowi nr 17, jaki przypadkowo wpadł mi w ręce. Wkrótce otrzymałem pocztę, w jednej paczce numery 17-23, a niedługo potem numer 24. Tak więc otrzy-

małem i przeczytałem „hurtem” osiem kolejnych numerów. Myślę, że po tej lekturze mogę wypowiedzieć swe zdanie na temat waszego pisma. Najogólniej uważam, że TAWACIN jest bardzo dobry. Pozwólcie jednak, że zwrócę uwagę na drobną usterkę. W artykule Aleksandra Sudaka *Tecumseh - młt i rzeczywistość* (nr 23/93) na stronie 17 jest napisane, że Puckeshinwa - ojciec sachema Szawanezów „zginął w bitwie nad rzeką Wielka Kanawha”, zaś na stronie 19, w tym samym artykule czytamy, że „zamordował go biali łowcy nad Rzeką Szaloną w Ohio”. I którą z dwóch wersji śmierci Puckeshinwy uznać za prawdziwą?

Kacper Świerk, Rzeszów

OD REDAKCJI. Ojciec Tecumseha zginął oczywiście w bitwie nad rzeką Wielka Kanawha, zaś wersja jego śmierci przedstawiona na stronie 19 jest jedną z legend, jaka krąży wśród białych. Przepraszamy Czytelników, że niezbyt jasno zostało to wyeksponowane w tekście.

## Chcę korespondować...

W listach do redakcji Czytelnicy często proszą nas o stałą korespondencję, mającą pomóc im w zdobyciu kontaktów, wymianie informacji i pogłębieniu wiedzy. Niestety, ze względu na nadmiar zajęć nie jesteśmy w stanie odpowiadać na wszystkie listy, a tym bardziej na zawarte w nich pytania, ani też prowadzić systematycznej korespondencji. Proponujemy za to utworzenie „kącika korespondencyjnego”, w którym będziemy podawać adresy osób chcących pisać ze sobą. Osoby pragnące nawiązać korespondencję, a także te, które chcą podać swój adres jako miejsca kontaktowe w wymianie informacji (przede wszystkim o lokalnych spotkaniach i mini zlotach) prosimy o kontakt. Liczymy, że stanie się to okazją do nawiązania nowych przyjaźni na indiańskiej ścieżce.

Red.

Interesuje mnie poezja, filozofia, sposób postrzegania świata przez Indian. Chciałbym poszerzać swoje wiadomości z tego zakresu.

MARCIN BRODOWSKI  
TRZCINICA 104/4  
63-620 TRZCINICA

## Zwierzania Cienia

1. To już dwudziesty piąty numer Pisma Przyjaciół Indian - pomyślałem ostatnio. Najwyższy czas, by zacząć pisać nie tylko o tym, o czym „wypada”, ale także bardziej o sobie. Nie tylko o Indianach, ale także o nas - o ich miłośnikach i przyjaciółach. Po to przecież w połowie lat 80. wymyśliliśmy **Tawacin** - pisemko cienie, fatalne jakościowo (pisane na maszynie, poprawiane ręcznie i odbijane na kserografie), ale pisemko „nasze”, własne. Najwyższy też czas, by nauczyć się pisać krótko (zawsze brakowało nam miejsca i tak już zapewne pozostanie) o sprawach, o których chciałoby się napisać wiele, a powinno - choćby dwa, trzy zdania. Stąd pomysł na ten felieton - mój „list do Redakcji”, a raczej - list do Czytelników.

2. Porównując pierwsze skromniutki broszurki **Tawacinu** (z dumnym „Przegląd Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian” w podtytule) z dzisiejszym Pismem (wciąż dalekim przecież od ideału), łatwo moglibyśmy popaść w samozachwyt nad naszymi osiągnięciami. Tymczasem to tylko wynik dokonującego się nieustannie - i zwykle niezależnie od nas - postępu technicznego. To, co w Piśmie naprawdę istotne - to zawartość poszczególnych numerów, składająca się z czasem na tzw. „linię programową”. Powołuje się na nią często nasz Wydawca, a jednak owa „linia” nigdy nie była prosta i jasno określona. Brakowało nam tego niezbędnego doświadczenia, odpowiedniej wiedzy i zgodności poglądów. Ci nieliczni pechowcy, którzy przeszli przez doświadczenie tzw. redakcyjnych dyskusji dobrze wiedzą, w jak wysokiej temperaturze rodzą się kompromisy i kolejne numery **Tawacinu**. Ale dla nas - „ludzi z Ruchu” - wywodzących się z barwnego i zróżnicowanego środowiska polskich indianistów, i do niego adresujących swoje „dzieło”, było to naturalne i nieuniknione. Bynajmniej nie z komputerem było nam się najtrudniej dogadać. To nie nożyczek cenzora baliśmy się najbardziej (bo ich nie było). I to nie reakcje edytora tekstu, lecz reakcje ludzi były dla nas najbardziej zaskakujące.

3. Któż nie słyszał, że dowolni dwaj Indianie należą do trzech plemion i czterech organizacji. A my, polscy indianiści jesteśmy ich „godnymi” uczniami. Dlatego tak trudno dogodzić wszystkim czytelnikom (lub choćby większości z nich). I dlatego tak kręta bywa nasza „linia”. Poza tym, każdy z nas - twórców **Tawacinu** - ma przecież swoje własne sympatie i zainteresowania. A choć krag jego czytelników wciąż się powiększa, to nadal chcielibyśmy, by było to też „nasze” pismo. Mimo sporych (nie ośmieliłem się napisać - profesjonalnych) ambicji, wciąż jest to pismo robione przez amatorów-zapałców. Pismo powstające w wolnym czasie i nie dochodowe. Macie zwykle rację, gdy wytykacie nam błędy i niedociągnięcia, i gdy narzekacie na jakość lub cenę. Ale przy naszym, jakże skromnych możliwościach, często musimy się uczyć w własnych błędach (efekty tej nauki są chyba widoczne?). Musimy odwoływać się do Waszej wyrozumiałości, cierpliwości i pomocy (na przykład w dystrybucji). „Pomagając nam - pomagacie sobie”. Wiem, że to banał, ale Indianie przypominają go często.

4. Choć zasadniczą redakcję **Tawacinu** od samego początku tworzą te same trzy osoby (aż trudno uwierzyć, że tak różnym osobom udało się stworzyć coś tak trwałego), to grono ludzi, dzięki którym pismo to istnieje jest o wiele większe. Kilku stałych współpracowników i kilkudziesięciu już autorów tłumaczyń, tekstów i rysunków to nie wszyscy, choć efekty ich pracy najłatwiej dostrzec w **Tawacinie**. Nie zawsze zdajemy sobie sprawę z tego, jak wielu różnych ludzi przyczynia się do powstawania pisma. Ilu znanych udostępnił nam swój sprzęt i fachową wiedzę, ile znanych często tylko z korespondencji osób przesyła nam wycinki prasowe, swoje uwagi na temat pisma, pytania i propozycje. To dzięki nim **Tawacin** jest pismem żywym, pismem które stara się realizować na Wasze głosy i aktualne wydarzenia (no, może trochę przesadziłem, ale chciałbym, by tak właśnie było). To dzięki tym wszystkim - często bezimiennym - ludziom, naszym przyjaciołom i przyjaciółkom Indian jesteśmy - mam taką nadzieję - coraz lepsi. Dlatego należą im się moje (nasze) podziękowania.

LITERATURA PIĘKNA

*Tylko ziemia przetrwa..* Mała antologia dawnej i współczesnej literatury Indian Ameryki Północnej. Wybór i oprac. Leszek Michalik. SOK Sztum 1992, cena 34.000,-

Longin Jan Okoń: *Plonąca preria..* Powieść o wojnie Czarnego Jastrzębia. Lublin 1990, cena 22.000,-  
Thomas Berger: *Mały Wielki Człowiek.* Wyd. Wojciech Pogonowski. Warszawa 1991, cena 43.000,-

*Święty Krag.* Dawna i współczesna poezja Indian Ameryki Północnej w przekładzie Leszka Michalika. Oprac. Wojciech Retz. Wyd. Grupy Działania Twórczych. Chodzież 1993, cena 15.000,-

ANTROPOLOGIA

Ewa Nowicka: *Świat człowieka, świat kultury.* PWN. Warszawa 1992, cena 72.000,-

RĘKODZIEŁO

Wiesław K. Niedźwiadek: *Indiańskie techniki zdobienia koralikami.* Tipi, Wielichowo 1992, cena 22.000,-

HISTORIA

Jan Szczepański: *Dopóki trawa rośnie, dopóki rzeki płyną. Dzieje plemienia Czejenów 1835-1880.* Warszawa 1990, cena 28.000,-

Izabella Rusinowa: *Indianie, traperzy i osadnicy w dziejach amerykańskiego Zachodu.* Warszawa 1990, cena 31.000,-

*Ameryka Indiańska. Spotkanie dwóch światów.* (Katalog wystawy) Praca zbiorowa pod red. Janusza Jaskulskiego. Poznań 1992, cena 53.000,-

Bartolomé de Las Casas: *Krótka relacja o wyniszczeniu Indian.* „W drodze” Poznań 1988, cena 29.000,-

Ewa Nowicka, Izabella Rusinowa: *Indianie Stanów Zjednoczonych.* Antologia tekstów źródłowych. PWN. Warszawa 1991, cena 85.000,-

W DRODZE nr 11 z 1992, miesięcznik oo. dominikanów poświęcony rocznicy 500-lecia ewangelizacji Ameryki, cena 20.000,-

Michał J. Rozbicki: *Narodziny narodu. Historia Stanów Zjednoczonych do 1861 roku.* Wyd. Interim. Warszawa 1991, cena 56.000,-

SZAMANIZM

Carlos Castaneda: *Nauki don Juana.* Wyd. Literackie. Kraków 1991, cena 37.000,- Carlos Castaneda to prekursor współczesnego New Age. Pod kierunkiem tytułowego don Juana, indiańskiego cza-

rownika z plemienia Yaqui, postępując ścieżką wiedzy ku całkowitemu poznaniu siebie i otaczającego świata. W tej niezwykłej podróży duchowej konieczna jest odwaga, silna wola i odrzucenie utartych poglądów.

PO RAZ PIERWSZY W OFERCIE!

Nevill Drury: *Szamanizm.* Wyd. Rebis. Poznań 1994, cena 44.000,- Czym jest, gdzie się narodził, jak się rozprzestrzenił i jakie przechodził ewolucje. Indiańscy medicine men: Czarny Łoś, Brooke Leczący Orzeł, Stoneczny Niedźwiedź. Castaneda i Andrews - szamani czy szarlatani?

Eduard Klein: *Powrót Indian.* KAW. Warszawa 1991, cena 20.000,- Powieść niemieckiego pisarza o szczęśliwym, spokojnym życiu Indian Mapucze na pograniczu Chile i Argentyny, nagle zakłóconym przez chciwość białych obszarników.

Maria Paradowska: *Wśród Indian i Metysów.* Ossolineum. Wrocław 1989, cena 29.000,- Antologia relacji polskich podróżników o tubylczych mieszkańcach Meksyku i Ameryki Środkowej. Barwne opisy życia codziennego, kultury i zwyczajów Indian, Metysów i Mulałów stanowią cenny materiał źródłowy dla osób zajmujących się etnografią i historią Ameryki.

Auguste Guinnard: *Trzy lata w niewoli u Patagonów.* Wyd. Literackie. Kraków 1988, cena 16.000,- Relacja z trzyletniego (1856-1859) pobytu w niewoli u Indian Patagonii. W tej relacji autor - kreśląc koleje swego losu - zawarł również ciekawe dane dotyczące zwyczajów, obyczajów i wierzeń tubylczych ludów Pampy i Patagonii.



W cenę książki wliczone są koszty opłaty pocztowej za przesyłkę. Prosimy o przedpłatę przekazem lub na konto:

**TIPI, Marek Maciołek**  
**ul. Łąkowa 3**  
**64-050 Wielichowo**  
**GBW-BS w Wielichowie**  
**Rk 963549-56531-136**

Ze względu na termin dostarczania wpłat przez bank, realizacja zamówień może trwać do 3-4 tygodni. Aby to przyspieszyć można przestać zamówienie listem dołączając kopię przekazu.

Drodzy prenumeratorzy,

tym razem kilka słów o korespondencji. Proszę zwrócić uwagę na naklejkę adresową na kopercie. Obok adresu (jeśli są jakieś błędy, proszę o kontakt) znajduje się informacja o prenumeracie. Najczęściej ma ona formę „DO 28/94”, co oznacza, że prenumerata została opłacona do numeru 28 włącznie (w numeracji ciągłej) za rok 1994. Po otrzymaniu ostatniego opłaconego numeru proszę o przedłużenie prenumeraty. Zwykle w kopercie będzie znajdował się ostemplowany blankiet do wpłaty na konto. Proszę o wpisanie (zawsze) pełnego adresu DUŻYMI, DRUKOWANYMI literami oraz o podanie na odwrocie (wiem, że jest niewiele miejsca, ale proszę spróbować), czego dotyczy wpłata. Otrzymuję sporo nieopisanych przekazów i niepełnych adresów, co skutecznie utrudnia terminową wysyłkę. ANNE WOJCIECHOWSKĄ z RACIBO-RZA (lub osoby ją znające) proszę o kontakt. Na przekazie brak ulicy, nie mogę wysłać Tawacinu.

W listach zawsze proszę podawać imię i nazwisko oraz adres na kopercie. Czasami trudno mi skojarzyć osobę z imieniem, które się często powtarza. np. Anna, Małgorzata, Katarzyna, Krzysztof czy Wojciech. Szukanie adresu pochłania mi mnóstwo czasu. Howgh!

Marek Maciołek

**WARUNKI PRENUMERATY**  
TAWACIN ukazuje się cztery razy w roku. Cena jednego numeru w prenumeracie wynosi 15.000 zł (razem z wysyłką). Prenumerata roczna wynosi 60.000 zł.  
Oferujemy możliwość obniżenia ceny prenumeraty przez wysyłkę pod wspólny adres co najmniej 2 egzemplarzy TAWACINU. Udzielone bonifikaty powodują wówczas obniżenie ceny do:

ilość egzemplarzy	cena 1 egz. w złotych	cena prenumeraty 1 egz. w 1994 r.
1	15.000	60.000
2-4	14.000	56.000
5-9	13.000	52.000
od 10	12.000	48.000

Wpłaty należy kierować na konto:  
MAREK MACIOŁEK, TIPI  
UL. ŁĄKOWA 3  
64-050 WIELICHOWO  
GBW-BS w WIELICHOWIE  
RK NR 963549-56531-136  
Prosimy dokładnie i czytelnie podawać swój adres na przekazie oraz czego dotyczy wpłata. Przy zmianie adresu prosimy o informację.  
**NIE PRZESYŁAĆ PIENIĘDZY W LISTACH!**





LITERATURA PIĘKNA

*Tylko ziemia przetrwa..* Mała antologia dawnej i współczesnej literatury Indian Ameryki Północnej. Wybór i oprac. Leszek Michalik. SOK Sztum 1992, cena 34.000,-

Longin Jan Okoń: *Plonąca preria..* Powieść o wojnie Czarnego Jastrzębia. Lublin 1990, cena 22.000,-  
Thomas Berger: *Mały Wielki Człowiek.* Wyd. Wojciech Pogonowski. Warszawa 1991, cena 43.000,-

*Święty Krag.* Dawna i współczesna poezja Indian Ameryki Północnej w przekładzie Leszka Michalika. Oprac. Wojciech Retz. Wyd. Grupy Działania Twórczych. Chodzież 1993, cena 15.000,-

ANTROPOLOGIA

Ewa Nowicka: *Świat człowieka, świat kultury.* PWN. Warszawa 1992, cena 72.000,-

RĘKODZIEŁO

Wiesław K. Niedźwiadek: *Indiańskie techniki zdobienia koralikami.* Tipi, Wielichowo 1992, cena 22.000,-

HISTORIA

Jan Szczepański: *Dopóki trawa rośnie, dopóki rzeki płyną. Dzieje plemienia Czejenów 1835-1880.* Warszawa 1990, cena 28.000,-

Izabella Rusinowa: *Indianie, traperzy i osadnicy w dziejach amerykańskiego Zachodu.* Warszawa 1990, cena 31.000,-

*Ameryka Indiańska. Spotkanie dwóch światów.* (Katalog wystawy) Praca zbiorowa pod red. Janusza Jaskulskiego. Poznań 1992, cena 53.000,-

Bartolomé de Las Casas: *Krótka relacja o wyniszczeniu Indian.* „W drodze” Poznań 1988, cena 29.000,-

Ewa Nowicka, Izabella Rusinowa: *Indianie Stanów Zjednoczonych.* Antologia tekstów źródłowych. PWN. Warszawa 1991, cena 85.000,-

W DRODZE nr 11 z 1992, miesięcznik oo. dominikanów poświęcony rocznicy 500-lecia ewangelizacji Ameryki, cena 20.000,-

Michał J. Rozbicki: *Narodziny narodu. Historia Stanów Zjednoczonych do 1861 roku.* Wyd. Interim. Warszawa 1991, cena 56.000,-

SZAMANIZM

Carlos Castaneda: *Nauki don Juana.* Wyd. Literackie. Kraków 1991, cena 37.000,- Carlos Castaneda to prekursor współczesnego New Age. Pod kierunkiem tytułowego don Juana, indiańskiego cza-

rownika z plemienia Yaqui, postępującą ścieżką wiedzy ku całkowitemu poznaniu siebie i otaczającego świata. W tej niezwykłej podróży duchowej konieczna jest odwaga, silna wola i odrzucenie utartych poglądów.

PO RAZ PIERWSZY W OFERCIE!

Nevill Drury: *Szamanizm.* Wyd. Rebis. Poznań 1994, cena 44.000,- Czym jest, gdzie się narodził, jak się rozprzestrzenił i jakie przechodził ewolucje. Indiańscy medicine men: Czarny Łoś, Brooke Leczący Orzeł, Stoneczny Niedźwiedź. Castaneda i Andrews - szamani czy szarlatani?

Eduard Klein: *Powrót Indian.* KAW. Warszawa 1991, cena 20.000,- Powieść niemieckiego pisarza o szczęśliwym, spokojnym życiu Indian Mapucze na pograniczu Chile i Argentyny, nagle zakłóconym przez chciwość białych obszarników.

Maria Paradowska: *Wśród Indian i Metysów.* Ossolineum. Wrocław 1989, cena 29.000,- Antologia relacji polskich podróżników o tubylczych mieszkańcach Meksyku i Ameryki Środkowej. Barwne opisy życia codziennego, kultury i zwyczajów Indian, Metysów i Mulałów stanowią cenny materiał źródłowy dla osób zajmujących się etnografią i historią Ameryki.

Auguste Guinnard: *Trzy lata w niewoli u Patagonów.* Wyd. Literackie. Kraków 1988, cena 16.000,- Relacja z trzyletniego (1856-1859) pobytu w niewoli u Indian Patagonii. W tej relacji autor - kreśląc koleje swego losu - zawarł również ciekawe dane dotyczące zwyczajów, obyczajów i wierzeń tubylczych ludów Pampy i Patagonii.



W cenę książki wliczone są koszty opłaty pocztowej za przesyłkę. Prosimy o przedpłatę przekazem lub na konto:

**TIPI, Marek Maciołek**  
**ul. Łąkowa 3**  
**64-050 Wielichowo**  
**GBW-BS w Wielichowie**  
**Rk 963549-56531-136**

Ze względu na termin dostarczania wpłat przez bank, realizacja zamówień może trwać do 3-4 tygodni. Aby to przyspieszyć można przestać zamówienie listem dołączając kopię przekazu.

Drodzy prenumeratorzy,

tym razem kilka słów o korespondencji. Proszę zwrócić uwagę na naklejkę adresową na kopercie. Obok adresu (jeśli są jakieś błędy, proszę o kontakt) znajduje się informacja o prenumeracie. Najczęściej ma ona formę „DO 28/94”, co oznacza, że prenumerata została opłacona do numeru 28 włącznie (w numeracji ciągłej) za rok 1994. Po otrzymaniu ostatniego opłaconego numeru proszę o przedłużenie prenumeraty. Zwykle w kopercie będzie znajdował się ostemplowany blankiet do wpłaty na konto. Proszę o wpisanie (zawsze) pełnego adresu DUŻYMI, DRUKOWANYMI literami oraz o podanie na odwrocie (wiem, że jest niewiele miejsca, ale proszę spróbować), czego dotyczy wpłata. Otrzymuję sporo nieopisanych przekazów i niepełnych adresów, co skutecznie utrudnia terminową wysyłkę. ANNE WOJCIECHOWSKĄ z RACIBO-RZA (lub osoby ją znające) proszę o kontakt. Na przekazie brak ulicy, nie mogę wysłać Tawacinu.

W listach zawsze proszę podawać imię i nazwisko oraz adres na kopercie. Czasami trudno mi skojarzyć osobę z imieniem, które się często powtarza. np. Anna, Małgorzata, Katarzyna, Krzysztof czy Wojciech. Szukanie adresu pochłania mi mnóstwo czasu. Howgh!

Marek Maciołek

**WARUNKI PRENUMERATY**  
TAWACIN ukazuje się cztery razy w roku. Cena jednego numeru w prenumeracie wynosi 15.000 zł (razem z wysyłką). Prenumerata roczna wynosi 60.000 zł.  
Oferujemy możliwość obniżenia ceny prenumeraty przez wysyłkę pod wspólny adres co najmniej 2 egzemplarzy TAWACINU. Udzielone bonifikaty powodują wówczas obniżenie ceny do:

ilość egzemplarzy	cena 1 egz. w złotych	cena prenumeraty 1 egz. w 1994 r.
1	15.000	60.000
2-4	14.000	56.000
5-9	13.000	52.000
od 10	12.000	48.000

Wpłaty należy kierować na konto:  
MAREK MACIOŁEK, TIPI  
UL. ŁĄKOWA 3  
64-050 WIELICHOWO  
GBW-BS w WIELICHOWIE  
RK NR 963549-56531-136  
Prosimy dokładnie i czytelnie podawać swój adres na przekazie oraz czego dotyczy wpłata. Przy zmianie adresu prosimy o informację.  
**NIE PRZESYŁAĆ PIENIĘDZY W LISTACH!**

